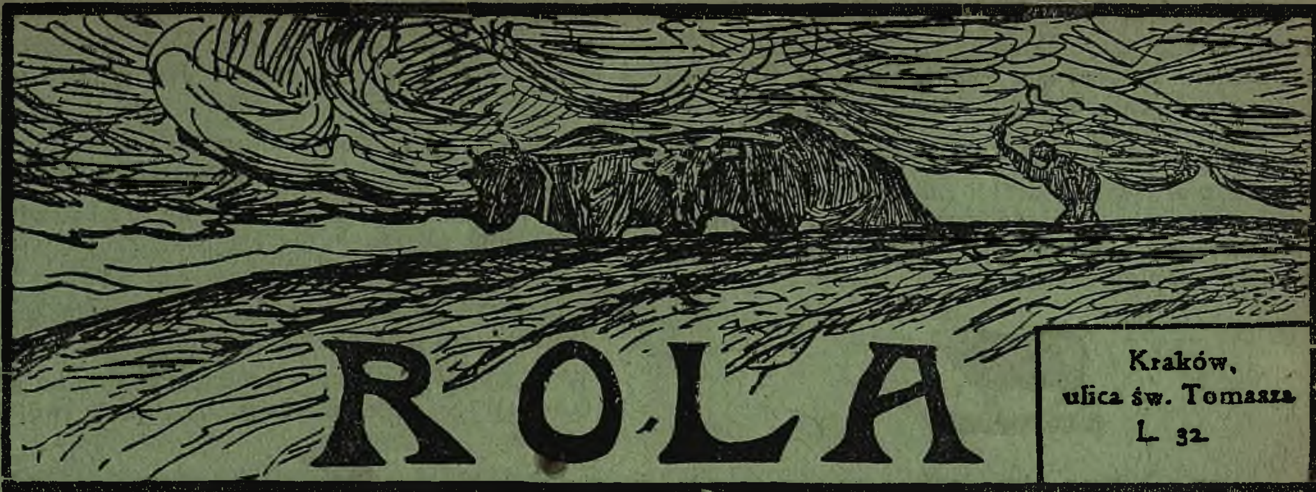
Numer 12. Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 23 Marca 1930**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Strata czasu.

Dwaj Irlandczycy kopią kanał przy kanalizacji. Jeden z nich jest bardzo wielki, przeszło 6 i pół stopy, drugi niecałe 4 stopy. Mimo to mały, wiele więcej zrobił niż wielki.

— Słuchaj — mówi dozorca do wielkiego, — czemu ten mały więcej zrobił od ciebie?

— Czy tego nie wiecie, odrzecze wielki, ponieważ jest mały, więc zaledwie pół tyle czasu potrzebuje, co ja, przy schylaniu się.



Cięta odpowiedź.

Jak opowiada „Liberte“ działo się to w czasie wojny w obozie jeńców niemieckich w Anglji. W ciągu rozmowy — jaką się zawiązała pomiędzy oficerem Jerzego V a wziętym do niewoli oficerem Wilhelma II, Prusak woła z arogancją:

— Wy Anglicy, walczycie tylko o pieniądze, a my — o honor się bijemy.

— Nic dziwnego — odrzeknie cięty Anglik — każdy walczy o to, czego mu braknie.



W księgarni.

— Chciałabym poprosić o jakąś książkę dla mego chorego męża...

— Proszę bardzo... Zapewne pani dobrodziejka życzy sobie jakieś dzieło o treści religijnej?

— Dziękuję bardzo, nie — mojemu mężowi jest już znacznie lepiej.

Żydowskie oświadczyny.

Pies ma ogon, słoń ma trąbę, krowa rogi też,
Powiedz ty mi moja Salcze, czy mnie kochać chcesz?

Szwici sobie miesiąc w nocy, bo ma na to czas,
Moja Salcze czy małżeństwo będzie kiedy z nas?

Bije sobie bednarz w klepki, coby on był zdrów,
Czy mnie kochasz moja Salcze? Proszę ciebie, mów!

Kużda szwica ma swój knotek, a kopyta koń,
Moja Salcze potrzebujesz dać mi swoją dłoń!

W kużde Wisły jest wilgotno, ryby nima głos,
Ożeń ty sze ze mną Salcze, bo marny twój los.



Nauczyciel: No, Karolku, powiedz mi, kto zwyciężył Filistynów.

— Nie mam zielonego pojęcia panie profesorze! Nie czytałem jeszcze dzisiejszego sprawozdania sportowego.

Ale nie może!...

— Mój tatuś kazał się kłaniać i chciałby zapłacić rachunek.

— To bardzo ładnie, bardzo ładnie, mój chłopcze.

— ...ale nie może, bo nie ma pieniędzy.

Do Szan. Czytelników „Roli“!

Ktoby wiedział o śmierci mego brata Ignacego Klimeczki, który służył przy b. armji austr. K. K. Landst. Reg. 31, 3 komp., III Zug, który zaginął na włoskim froncie bez wieści w roku 1917, proszę o jaką wiadomość pod adresem: F. Klimeczko, Woźniki L. 131, Wadowice. Koszta korespondencji zwrócę.

Numer 12. Rok XIII. Kraków, dnia 23 marca 1930.



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Kłamstwo u dzieci.

Niejeden ojciec, niejedna matka ręce załamuje z rozpaczy, gdy przyłapie swoje dziecię na kłamstwie. I nic w tem dziwnego, gdyż kłamstwo jest jedną z najpotworniejszych wad człowieka na świecie. Oczywiście nie można się z kłamstwa dziecka cieszyć, ale też nie należy rozpaczać, gdyż kłamstwo jest ogólną wadą wszystkich dzieci. Nie masz prawie dziecka, któreby nigdy nie kłamało. Nawet najstaranniejsza opieka rodzicielska nie uchroni dziecka od kłamstwa. Na pociechę tych wszystkich matek, które niejedną łzę z powodu kłamstwa swych dzieci uroniły, trzeba powiedzieć, że kłamią nietylko ich dzieci, ale wszystkie dzieci całego świata, jak to zresztą stwierdziły niezbicie ostatnie badania naukowe.

Sprawa kłamstwa u dzieci zajmuje w ostatnich czasach coraz bardziej wychowawców tych dzieci. — Odbywają się badania nad nią, a ostatnio inspektorka szkół miejskich w Würzburgu w Bawarji przeprowadziła szereg prób na dzieciach od 9 do 13 lat życia. Próby te polegały na tem, że dzieciom dawano sposobność do kłamstwa, przyczem każdorazowe źródło kłamstwa pochodzić miało z coraz to innej podniety. Tak na przykład napisano na tablicy ciężki rachunek pamięciowy, którego dzieci stanowczo rozwiązać nie mogły. Chodziło o to, czy badane dzieci na proste pytanie, czy rozwiązały zadanie i czy mają u siebie ten sam wynik, jaki nauczycielka wypisała na tablicy, odpowiedzą „tak“, czy „nie“. W grę wchodziła w tym wypadku ambicja. I oczywiście 80 procent dzieci odpowiedziało „tak“, czyli 80 procent dzieci skłamało, a przyszło im to tem łatwiej, iż nauczycielka z góry zapowiedziała, że nie będzie sprawdzać wyników.

Przy innej próbie wręczono dzieciom koperty z cukierkami, obrazkami, znaczkami pocztowemi itp. Dzieciom dozwolono wziąć te koperty do domu, pobawić się ich zawartością, lecz nakazano na drugi dzień odnieść. Uprzednio spisano jednak zawartość każdej koperty jak najdokładniej, o czem jednak nic dzieci nie wiedziały. Na drugi dzień okazało się, że tylko trzecia część dzieci odniosła wszystko w porządku. Te dzieci, które oddały koperty nie z taką zawartością, jaką otrzymały, w ogromnej większości wypadków nie przyznały się do jakiegokolwiek braku, a tylko niektóre z nich tłumaczyły się, że brakującą rzecz zgubiły. A więc tak jedne jak i drugie, kłamały.

Ogółem przeprowadzono z temi dziećmi dziewięć rozmaitych prób i przekonano się, że ani jedno dziecko nie pozostało wolne od kłamstwa. Były takie, które nawet w ośmiu wypadkach powiedziały prawdę, ale w dziewiątym skłamały.

Chęć zysku, łakomstwo, chęć przypodobania się, fałszywa pokora, chorobliwa ambicja, oto podniety, którym olbrzymia większość dzieci w żadnym wypadku nie może się oprzeć. Wiele dzieci kłamie z fałszywego wstydu, z obawy wykrycia ich wad, przeważnie zaś z chęci popisania się.

Zakłamania się dzieci nie należy brać tragicznie, nie znaczy to jednak, aby nie walczyć z niem, ale czynić to należy łagodnemi środkami, a nigdy nie postępować zbyt po drakońsku. Zbyt ostre postępowanie z dziećmi w kłamstwie jeszcze bardziej je utwierdza, łagodność natomiast budzi zaufanie i pozbawia je tej paskudnej wady.

Dzieci od lat 13 w górę już bezwarunkowo kłamać nie powinny, gdyż to ubliża ich godności osobistej. Wiek to bowiem, w którym człowiek przestaje być dzieckiem, a staje się młodzieńcem, lub dziewoją, a ci ust swych kłamstwem plamić nie powinni.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

— Pewnie cieszą się z tego faktu?

— Właśnie że nie. Tak pokonują swój smutek z powodu pojawienia się wojsk. Teraz u nich nastanie post, i przez cały ten czas, przez który będziemy przebywać wśród rosyjskich sekciarzy, nie otrzymamy nic więcej do jedzenia prócz chleba i mleka.

— Dlaczego mieliby się smucić, że ich rodacy i obrońcy znów opanowali Suchum-Kaleh? — zapytał się Rjunin z niedowierzaniem.

— A jednak smucą się. Jak długo bowiem ich rodacy byli daleko, żyli z nimi Abchazowie w doskonałej zgodzie. Sekciarze rosyjscy są pobożni i spokojni, tkają oni i przędą dla Czerkiesów; trudnią się uprawą roli, handlem, gotują piwo, nie czynią krzywdy nikomu i dlatego też od każdego mają spokój. Ale skoro tylko Rosjanie wejdą do kraju Abchazów, stają się pierwszą ofiarą podnieconych Czerkiesów właśnie ci rosyjscy sekciarze. Uda im się wyprosić pokój u Czerkiesów, przyjdą znów kozacy i popi, a tych boją się jeszcze bardziej niż Czerkiesów.

Wieś rosyjskich sekciarzy tworzyła piękne, przyjemne osiedle w najniższem miejscu doliny. Drogę rozdzielał potok, nad potokiem stał młyn na dowód, że mieszkają tu ludzie, żyjący chlebem. Kiedy mężczyźni, otaczający płonącą chatę ujrzeli przychodniów, pozdrowili ich w języku czerkieskim i zaprosili ich do siebie, ofiarując im nocleg.

— My również jesteśmy walczący z duchem Osjetyńcy — szeptem powiedział Meczychetis do mężczyzny zarosłego, który wysunął się na czoło zgromadzonych.

Po tych słowach mąż ów gorąco uścisnął mu dłoń. I mężczyźni i kobiety byli nader poważni, mieli surowy wygląd i byli chudzi. Młodych nie było wśród nich. Wszyscy już w młodym wieku zestarzeli się. Nikt teraz nie zabierał głosu.

Najstarszy z nich, — Meczychetis nazywał go prorokiem, — zaprosił ich do wzięcia udziału w nabożeństwie, które odbędzie się jeszcze w nocy. Aby je odprawić, zgromadzili się w dużym drewnianym budynku, tu mężczyźni i kobiety osobno usadowili się w ławkach. W środku za szerokim dębowym stołem usiadł prorok. Na polu dalej palił się potężny ogień.

Nazwa „walczący z duchem“ oznacza rosyjską sektę „walczącą z duchem świętym“. Prawosławni tłumaczą to tak, że sekciarze ci walczą „z duchem świętym“, oni zaś głoszą, że walczą „razem z duchem świętym przeciw djabłu“.

Prorok głośno czytał ustępy z biblji, a zgromadzeni słuchali go ze założonemi rękami. Tylko jedna świeca łojowa oświecała słabo całe zgromadzenie, — wszyscy zachowywali się spokojnie, jak gdyby siedziały tu trupy.

Nagle Rjumin zauważył, że ów chudy mąż, który siedział obok niego, zaczął sobą dziwnie podrzucać, jego brwi i szczęki poruszały się, aż wreszcie głośno krzyknął, wyskoczył i zachowywał się tak, jak gdyby walczył z jakąś niewidzialną istotą. Zgromadzeni przypatrywali się temu milcząco i spokojnie, wreszcie zaczęli go naśladować i inni. Dwaj, trzej mężowie opuścili swoje miejsca i również zaczęli rzucać się i skakać. Przyszła kolej i na kobiety: z dzikim krzykiem zaczęły sobą rzucać i machać rękami. Wkońcu całe zgromadzenie opanował ten dziwny szał: wszyscy skakali, krzyczeli i w różny sposób wykręcali swe członki ciała. Wreszcie sam prorok wyskoczył na dębowy stół i zaczął wykonywać najdziwaczniejsze ruchy i obroty; jego nogi i ręce zdawały się być bez kości, tak się przekręcały i szybko poruszały. To miało przedstawiać bój z szatanem. Religijny szał przenosi się i na obserwatorów; nagle Rjumin ujrzał, że i jego przewodnik wpadł między oszalałych tancerów; prześcignął wszystkich lekkością ruchów i specjalnością swych łamańców. Ba, nagle i sam Rjumin poczuł, że drgają mu brwi i mimowoli ręce i nogi zaczynają wykonywać dziwne ruchy. Aby opanować tę szczególną pokusę, musiał postąpić krok naprzód i włożył ręce za pas.

Ten szalony taniec trwał dopóty, dopóki i mężczyźni i kobiety zmordowani i wyczerpani nie popadali na ziemię. Ostatni przestali skakać Osjetyniec i ów stary prorok. Ci dwaj najdłużej walczyli z djabłem i jeszcze długo szaleli.

Wreszcie świeca zgasła, nabożeństwo się skończyło. Całe teraz zgromadzenie powstało.

Mężczyźni i kobiety znów wyszli pod gołe niebo, płomienie palącej się chaty dalej zalewały okolicę czerwonem światłem. Za ogniem można było widzieć dużo dziwnych koszów, podobnych do naszych pieców, które miały z przodu drzwiczki. Wszystkie drzwiczki, z wyjątkiem ostatniego pieca, były otwarte.

Teraz prorok wziął do ręki siekierę i otwarł koszyk dotąd zamknięty. Przedni jego otwór zamykał wielki kawał gliny, podobnie jak to gdzieniegdzie zamykają chlebowe piece. Był to rzeczywiście piec, — z niego prorok wyjął wielki podłużny bochen chleba w kształcie ryby.

Chleb ten włożono do pieca akurat przed rokiem. A tylko takiego chleba używają „walczący z duchem“ podczas swoich dziwnych nabożeństw.

W piecu, dobrze i szczelnie zamkniętym, chleb nie mógł się ani zepsuć, ani zgnić, ale stwardniał tak, że prorok wprzód rąbać go musiał siekierą i każdemu z obecnych podał kawałek. Ale ponieważ ludzkie zęby nie mogły takiego chleba rozgryźć, przyniosły kobiety każdemu drewnianą miseczkę z koziem mlekiem, w niem chleb tak długo maczano, aż stał się miękkim.

— Zjadłem — szepnął Osjetyniec Rjuminowi, gdy ci powiedziałem, że niczego więcej nie dostaniemy, prócz chleba i mleka, a chleb do tego jest zeszłoroczny.

— Chleb dla nabożeństwa w przyszłym roku pewnie piecze się w tej palącej się chacie formy stożkowej? — pytał się Rjumin.

— Tak jest, ale lepiej nie mówmy o tem.

Kiedy już wszyscy chleb zjedli, zaczęli śpiewać jakieś psalmy, a ogromnie byli wdzięczni obcym, gdy ci zaczęli ich śpiewowi towarzyszyć na swoich instrumentach; Rjumin na gitarze, Meczychetis na dudach. Śpiew trwał tak długo, dopóki nie zgasły płomienie palącej się stożkowatej chaty. Potem nastała cisza. Mlekiem pozostałem w miseczkach, zagasili ogień zupełnie.

Rjumin miał wrażenie, jakby przeciągły, posępny śpiew podczas ogólnego spokoju brzmiał jeszcze skądś z podziemia, jak gdyby śpiewał człowiek, pogrzebany żywcem. Ale prorok wezwał obcych, aby szli spać.

Na nocleg przeznaczono im jedną z najlepszych drewnianych chat, o oknach zwróconych na pralas.

Widokiem tym naturalnie mieszkańcy nie mogli się zachwycać, bo okna zasłonięte były papierem, zapuszczanym olejem. Szkła wogóle nie było w całej gminie. Łoża były urządzone dość wygodnie ze skór zwierzęcych. Meczychetis tylko się położył, zaraz usnął twardo i strasznie chrapał.

Rjumin długo nie mógł usnąć. Przed jego duszą przesuwały się najróżnorodniejsze obrazy, które odpędzały sen. Straszna zmiana zaszła w jego życiu. Dziś rano był jeszcze szlachcicem i pułkownikiem, któremu uśmiechała się najpiękniejsza przyszłość, a jego imię jaśniało od bohaterskich czynów, wieczorem jest biednym uciekinierem, przebranym żebrakiem, wędrującym awanturnikiem, który nawet nie ma nazwiska.

Nagle zdawało się Rjuminowi, że posłyszał gdzieś w dali straszny hałas i krzyk. Słyszał przeraźliwy wrzask walczących ludzi, rżenie koni, wycie wilków, wszystko to tworzyło chaotyczną wrzawę. Rjumin przyzwyczajony był do różnych awantur, ale teraz obleciał go strach.

— Co się dzieje? — zawołał wreszcie i siadł na swem łożu. — Nie słyszysz tej wrzawy? — pytał się swego towarzysza, którego obudził strzałem.

— Ależ słyszę bardzo dobrze — odrzekł Meczychetis, całkiem spokojnie. — Jest to bojowy krzyk Czerkiesów, nie potrzebujesz się dalej nim zajmować. Możemy spać spokojnie.

Powoli wrzawa ucichła i ginęła w rozległych borach, aż wreszcie dookoła zapanowała grobowa cisza.

Rjumin jednak nie mógł usnąć. Taniec strasznych obrazów, któremi przedtem fantazja trapiła jego duszę, zaczął się znowu. Naraz w nocnej ciszy usłyszał jakiś szczególny głos. Zdawało mu się, że koło niego chodził duch, mówiący ponurym głosem, który wywołuje w człowieku wspomnienia strasznych bajek o straszydłach, — opowiadanych nam ongiś przez piastunki. Były to dziwne westchnienia, jak gdyby wychodziły z grobu, a brzmiały mniej więcej tak:

— Nelim, ilim, ilim, chwa.

— Kto tu jest? — krzyknął Rjumin, chwytając za swój nóż, który miał za pasem.

Nie było odpowiedzi. Wszędzie panowała cisza, tylko Osjetyniec mocno chrapał na swem łożu.

Po małej chwili znów było słychać:

— Nelim, ilim, ilim, chwa.

Teraz chwycił Rjumin swego towarzysza za włosy i gwałtem go zbudził.

— Słyszysz, co to jest? Co to za głosy?

Straszne, smutne dźwięki znów zabrzmiały.

Skoro tylko Osjetyniec głosy te usłyszał, zerwał się raptownie, a wsadzając prędko czapkę na głowę, które jeszcze używał przed chwilą za poduszkę, rzekł:

— Tych głosów musimy się obawiać. Śpieszmy do koni i uciekajmy. Tak krzyczy żaba, którą nazywają tu „chwa“. Głos jej wzywa nas, byśmy stąd uciekali.

— Co, będziemy uciekali przed żabą? — pytał się Rjumin niespokojnie, bo dotąd nie zmrużył ani oka.

Ale Osjetyniec ogromnie się spieszył. Prędko się ubrał, szukał swych dud, a to tak, jak gdyby dom palił się nad głową. Prawdopodobnie nie było co czekać.

— Żaba „chwa“ wprawdzie nie jest tak wielką, aby nas mogła połknąć, ani tak jadowitą, aby nas mogła śmiertelnie ukąsić; mimo to każdy obcy najlepiej zrobi, gdy przed nią ucieka. Gdzie się ozwie, tam obcy, przybywający do tego kraju ulega najstraszniejszemu wrogowi — kaukazkiej febrze. Żaba „chwa“ i ta okropna choroba występują z ziemi. — Żaba ta już pogrzebała więcej Rosjan, niż zarąbały ich kiedykolwiek czerkieskie szable.

Straszny głos nie był długo osamotniony; wkrótce cała okolica rozbrzmiewała żabiem skrzeczeniem. Rjumin musiał potężnym haustem wódki odpędzić omdlenie, które opanowywało jego członki. Już świtało; nasi wędrowcy wyszli z osiedla „wojujących z duchem“ bez jakiegokolwiek pożegnania i tak ich najważniejszem zadaniem było wydostać się jak najprędzej z granic Rosyjskich gmin.

Dłuższy czas jechali galopem, nie mówiąc do siebie ani słówka. Dopiero, gdy wieś zniknęła im z oczu, powiedział Osjetyniec do Rjumina:

— Wiesz już więc, jaki cel miał wczorajszy ogień uroczystościwy u „wojujących z duchem?“

— Mówiliśmy już przecie o tem. Piekli chleb świąteczny na nabożeństwo na przyszły rok.

— Tak; do tego służył piec. Ilość otwartych pieców wskazuje nam też, jak długo istnieje osada. Ale pod każdym piecem jest coś innego, jest grób. Prorok zeszłoroczny, zawsze najstarszy mąż z całej osady, żywcem bywa do grobu tego włożony. Nad grobem postawią piec i zapalają silny ogień, aby dusza proroka weszła do ofiarnego chleba. Dziś więc jedliśmy duszę proroka zeszłorocznego, zaś tegorocznego słyszałeś śpiew pod ziemią. Z prorokiem, którego upieką w przyszłym roku, szalałeś dziś przy dzikiem nabożeństwie.

Rjumina ogarnęło przerażenie.

— To jakaś straszna sekta, — swoich proroków grzebie żywcem.

— Tak postępują wszyscy „walczący z duchem“ i dlatego Rosja wyrzuca ich na Kaukaz. Zresztą są to całkiem porządni ludzie.

— Przecież składają ludzi na ofiarę, jako poganie.

— To jest tylko zabawa — rzekł Osjetyniec i dalej opowiadał. Jeżeli przypadkowo przyjdziemy ku „moralistom“, zobaczysz jeszcze dziwniejsze rzeczy. To są ludzie tak bogobojni, że nie mogą doczekać się śmierci; gdy się im ckni, ustawiają stos, spokojnie i wygodnie kładą się nań i dobrowolnie żywcem się spalają. To ofiarowanie samego siebie nazywa się „ognistym chrztem“. Są oni bardzo bogaci, a handlując, puszczają się w dalekie nieznane kraje za górami, skąd przynoszą masy złota. Rosyjskie władze ich prześladują, bo sekta jest ogromnie ponętną dla rosyjskich żołnierzy. Już liczni żołnierze przystali do nich. Za każdą duszę, którą dla siebie zyskają, płacą moraliści tysiąc rubli. Jak długo są pieniądze, żyje się wesoło, a kiedy ich braknie, postawi się stos i urządza chrzest ogniem.

Rjumin uchwycił tylko sens tych słów, z których się dowiedział, że moraliści puszczają się daleko za góry w nieznane kraje, skąd przynoszą dużo złota. Jak gdyby rozkazywał, powiedział poważnie:

— Idziemy do moralistów.

— Uważaj dobrze, by cię nie pozyskali dla swej religji — powiedział Osjetyniec z uśmiechem.

Tak powoli wyjechali na wygodne wzniesienie, opanowujące całą okolicę, kiedy wyjechali z lasu, mogli podziwiać wspaniałe niebo.

Dziwny jakiś blask zalewał niebo od zachodu i od wschodu. Na wschodzie zorza była pięknie czerwona, zaś na zachodzie świeciła zorza żółtawa, która podobną była do łuny wielkiego pożaru.

— Wiesz, co to znaczy? — pytał się Osjetyniec Rjumina. Czerkiesi napadli w nocy wojska generała

Weljaminowy. Dla niego był przeznaczony bojowy krzyk, co ci w nocy tyle narobił kłopotu. A ta żółta zorza oznacza, że udało im się zapalić miasto Szemesz nad głowami śpiących bezpiecznie żołnierzy, a że czerkieskie domy są tylko drewniane, więc wszystko spali się doszczętnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WOJCIECH BYCZEK-BREOWICZ.

Zamek Odrzykoński.

Szkic historyczny z XVII wieku.

III.

Maleńka ,ale potężnie przez naturę ubezpieczona forteca dumnym wzrokiem wieków spoglądała ze szczytów skał na formujące się u jej stóp nieprzyjacielskie szyki.

Rakoczy z głównemi siłami swych wojsk pociągnął w stronę Krakowa, celem połączenia się z armją Karola Gustawa, niszcząc i łupiąc po drodze wszystko, co oszczędzili Szwedzi. Mszcząc upadek swej kandydatury regentarskiej — siał spustoszenie dokoła, zamieniając całe prawie podkarpacie w kupy gruzów i popiołów.

Szczególną nienawiścią darząc Krosno — jako że tu częściowo już upadła niefortunna jego kandydatura — pozostawił był pod jego murami część swych wojsk z pułkownikiem Wesselenyi'm na czele, który teraz właśnie, po zdobyciu miasta, oblegał zamek Kamieniecki.

Wstające nad lasy słońce słuchało płynącej w niebo pieśni „Bogarodzica Dziewica", rozlewającej się po srebrzystej rosie, jak zwykle przed każdą bitwą.

Nieprzyjaciel twardym pierścieniem opasywał podnóże grodu. W pierwszych blaskach słońca świeciły złowrogie zbroje, tarcze, muszkiety, spisy, miecze — jak krwawe ślepia idącego na żer potworu. Z oddali spoglądały wyzywająco w stronę obleżonych czarne od prochu i dymu paszcze armat, oczekujące chwili, kiedy człowiek-morderca każe im grzmieć, huczeć, pluć morderczą śliną na znużoną w znojach ofiarę.

Bohaterski komendant zamku, Mikołaj Załuski, doglądając przygotowań do obronnej walki, przebiegał wały, zaglądał na każdy posterunek, wszędzie zagrzewając serca i krzepiąc ducha żołnierzy.

— Jesteśmy orłem, otoczonym przez żarłoczne stado kruków i sępów, śród skał — wołał pułkownik do rycerzy, oczekujących hasła do otwarcia ognia. Niech brakującą ilość rąk — mówił dalej — zastąpi nasza dzielność i wytrwałość w obronie tego gniazda! Idzie gorący dzień próby, który musimy przetrwać, lub paść z mieczem w ręku pod gruzami tych murów! Zwycięstwo — lub śmierć!

— Zwycięstwo, lub śmierć! — powtórzyło rycerstwo.

— Ognia! — krzyknął komendant.

Zatrzęsło się powietrze, zadrżały skały posępne i wiekowe mury. Grzmot, huk, trzask samopałów, dym, kurzawa, krew...

Pierwsze pociski wystrzelone przez wprawnych puszkarzy polskich wprowadziły we wściekłość nieprzyjaciela. Uszkodziły mu bowiem dwie jedyne większego kalibru armaty, pobiły obsługę — co było doniosłym sukcesem pierwszych działań rozpoczętych o świcie.

Pułki Rakoczego sądziły uprzątnąć za pierwszym zamachem stare grodzisko i ciągnąć dalej za główną armją. Wkrótce jednak przekonały się, że nie jest to rzeczą zbyt łatwą do wykonania, że jedynie przez dłuższe regularne oblężenie może się ostatecznie zamek poddać.

Całodzienne próby podstąpienia pod mury celem wysadzenia tychże w powietrze — były bezskuteczne.

Wszystko, co żyło na zamku, jęło się do pracy za przykładem niestrudzonego nigdy komendanta — Załuskiego. Czeladź, nawet dzieci i kobiety dokazywały na równi z rycerstwem cudów odwagi i waleczności. Znosiły prochy, ołów, ładowały strzelby i rusznice — podając je następnie strzelającym, którzy bez wytchnienia razili nieprzyjaciół. Za każdem zbliżeniem się szturmujących pod bramy i mury sypano z góry stosy kamieni, belki, wrzącą wodę i smołę, rażono gradem pocisków z pistoletów, strzelb, łuków i armat.

Jak kosiarze, gdy stanąwszy na łanie, kładą u stóp swych bujnych traw pokosy — tak garstka dzielnej załogi krwawym posiewem rzucanym z baszt i murów słała od świtu do nocy stosy trupów i rannych u granitowych stóp zamczyska.

— Poddajcie się — wołano z dołu — albo wam wszystkim męka i śmierć!

— Pójdźcie tu krwiożercze psy — odpowiadano z góry — kruszcie sobie zęby na tych skałach i pijcie ognistą smołę!

— Głodem was weźmiemy, jak nie dziś, to jutro!

— Pierwej kamienie z tych murów porozbijają wam łby, czartowskie syny!

Tak minął dzień okropny, znojny, krwawy.

Zalany znojem, okryty pyłem i dymem, rozmyślał pod wieczór komendant nad przebiegiem całodziennej walki.

— Dziesięciu zabitych... z bolesną zadumą rzekł do otaczających go rycerzy, spoglądając z wieży zamkowej na płonące ogniska w obozie nieprzyjaciela.

Nadeszła noc, krwawa okropna noc, pełna trwogi i niepewności dla oblężonych. Gęste mroki pokryły zamek i okolicę dziką, przepaścistą, ponurą, zapadłą, szumiącą głucho lasami i krzyczącą hałasem, szczękiem i nawoływaniami wojsk oblężniczych. Od czasu do czasu krwawa błyskawica rozdzierała gęste ciemności na murach, huk przeraźliwy darł powietrze, bił echem o martwe głazy, mącił ciszę w gąszczach leśnych, a kula świetlistym łukiem spadała tymczasem na obóz oświecony snopami iskier płonących ognisk.

Jasno pochodniami oświetlona obszerna komnata na wieży zamkowej wrzała donośnym gwarem zebranej na narady starszyzny. Za wielkim dębowym stołem siedział komendant Mikołaj Załuski w gronie wiernych towarzyszów. U boku pułkownika spoczywali wsparci na szablach dwaj ulubieni jego oficerowie: Broniowski i Oświęcim.

Po całodziennem znużeniu pokrzepiano się starym miodem, roztrząsano wypadki dnia, ożywiano się nadzieją lepszego jutra i wiarą w zwycięstwo. — Wyblakłe portrety dzielnych panów grodziska stalowym wzrokiem spoglądały w marsowe oblicza tej garstki, która w tej chwili — czując się odpowiedzialną za dalsze losy dziedzictwa ich — radziła nad skutecznością obrony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GENERAŁ BEM OBROŃCA WĘGIER.

Polacy nietylko za wolność własnej Ojczyzny krew przelewali, ale gdy było potrzeba, spieszyli i w obce strony, aby nieść w ofierze życie swoje za wolność innych narodów. Znane nam są z historji świetliste postacie Kazimierza Pułaskiego, który w walkach o wyswobodzenie Ameryki życie młode położył, oraz Tadeusza Kościuszki, który w tych walkach brał wybitny udział i okrył się wiekopomną sławą. Do takich postaci należy generał Józef Bem, który pospieszył z pomocą Węgrom, pragnącym zrzucić z siebie gniotące ich jarzmo austrjackie.



Generał Józef Bem. (Klisza z dzieła p. Dr Harbuta).

Ciekawe są dzieje Węgier. Madziarowie czyli Ugry (Węgrzy) zeszli z okolic poduralskich nad rzeki Cisę i Dunaj w wieku IX. Łupiezkie ich napady sięgały aż wgłąb Niemiec, dzicz madziarska rozlała się szeroko w Europie, niosąc mord i pożogę. Kres ich zapędom położył w roku 955 cesarz niemiecki Otto I Wielki i zmusił ich do tego, że ograniczyli swoje władanie do dzisiejszych Węgier.

Właściwym założycielem państwa węgierskiego był św. Szczepan I (998—1038), który sam przyjął chrzest św. i zaprowadził wiarę świętą wśród swych rodaków. Arpadowie, z których rodu pochodził św. Szczepan, panowali na Węgrzech do XIII wieku, powiększając coraz bardziej swoje posiadłości, przyłączając do nich Siedmiogród, Słowaczyznę, Kroację i Dalmację.

Po Arpadach otrzymał tron węgierski dom andegaweński: Karol Robert i Ludwik I Wielki, za którego Węgry osiągnęły największą rozległość, a który był również i królem polskim. Jak wiadomo, córka owego Ludwika, Jadwiga, została po nim królową polską i wyszła zamąż za Władysława Jagiełłę. Za następcy jego, Zygmunta, zjawili się w Europie Turcy, z którymi walki trwały przez cały wiek XV. Brał w nich udział król Zygmunt, brał następca jego i mąż jego córki Albrecht Habsburg, brał i Władysław Warneńczyk, król polsko-węgierski, jak również i następca tego ostatniego, syn Albrechta, Władysław Pogrobowiec.

W walkach z Turkami najbardziej odznaczył się Jan Hunyady, wobec czego Węgrzy po śmierci Władysława Pogrobowca wybrali syna jego Macieja Korwina królem węgierskim.

O pozyskanie następstwa po nim starali się Habsburgowie i Jagiellonowie. Na mocy osobnego układu naprzód tron węgierski uzyskali Jagiellonowie, Władysław II (1490—1516) i Ludwik II (1516—1526), a gdy ten poległ w bitwie z Turkami pod Mohaczem, tron Węgierski przeszedł w ręce Habsburgów. Ale Habsburgowie zdołali utrzymać pod swoją władzą tylko zachodnią część Węgier, całe zaś południowo-wschodnie Węgry zagarnęli Turcy i silnie je trzymali w swych rękach. Dopiero pokonanie Turków w roku 1683 przez króla Jana III Sobieskiego oddało całe Węgry w ręce Habsburgów.

Habsburgowie dążyli jednak do zjednoczenia Węgier z Austrją, a to nie podobało się narodowi węgierskiemu. Celem wyswobodzenia się z pod przemocy austrjackiej podnieśli Węgrzy w 1848 roku powstanie, które przemieniło się w całoroczną wojnę. Na czele Węgier stanął Ludwik Koszuth; wojskami dowodzili Polacy: Henryk Dembiński i Józef Bem, a także Węgrzy: Görgey i Klapka.

W następnym numerze „Roli" omówimy czyny generała Bema w owej wojnie węgiersko-austrjackiej, dziś zaznaczymy tylko, że Józef Bem wsławił się już poprzednio w walkach o wolność Polski, a najwięcej w krwawej bitwie pod Ostrołęką. Kiedy już nasze wojska zaczęły się chwiać pod naporem przytłaczającej liczby Moskali, Bem wówczas jako podpułkownik za zezwoleniem generała Skrzyneckiego z 4 baterją polskiej artylerji popędził całym galopem wprost przed pozycje rosyjskie, bliżej niż na odległość ówczesnego strzału karabinowego, momentalnie kazał odprzodkować armaty i takim ogniem

zasypał zdziwionych Moskali, że ci nie wiedzieli, co czynić. Pociski raziły nieprzyjacielską piechotę i jazdę, atakujące nasze prawie tyły, zbliska, zmuszając je do odwrotu, a temsamem paraliżując na kilka godzin plan i akcję rosyjskiego sztabu.

Z bitwy tej mimo ogólnego niepowodzenia baterja Bema wyszła zwycięsko, ale więcej niż zdziesiątkowana.

Na obrazku naszym widzimy generała Bema, jako naczelnego wodza wojsk węgierskich.

(Dokończenie nastąpi).





MACIEK BZDURA GADA:

Nasa wieś, to jest niby Psia Wólka, to juz taka zatracona wieś, że w niej ućciwy człowiek ani rus nie może się pozbyć panieństwa. Lada haładryga, to tak, bo Psiwólcańskie panienki za takiem, co ma glancowane buty, portki na holewach i skrabackę na szyi, toby i z zamkniętemi ocami leciały, ale za zwykłego śturkaca w zgrzebnych portkach, to ani patrzyć nie chcą. Zreśtą to nie ino u nas, ale pono na całem świecie wszyćkie baby ni mają całego rozumu, bo jem go długie pełechy na wierzch z łepety wyciągnęły. Tak więc gdzieindziej, jak i u nas, nie patrzą, co ten, albo tamten posiada we wnątrzu, jaka tam w niem siedzi cnota we środku, ino sie jem to podoba, co ma na wirzchu i co, kiedy się chce można garścią złapać. I tak jest, że im więcej do serca przemawiają glancowane buty, aniżeli największa ućciwość wewnętrzna.

Takie są panienki nie ino w Psiej Wólce, ale i na całem świecie, a kto nie wierzy, niech się sam o tem przekona.

Psiwólcańskie panienki bez cały mięsopust scyrzyły do mnie i prawdziwe i wprawiane zęby i powiadały:

— Zeń sie, Maciuś, bo ci juz cas wielgi, zeń sie!

Co prawda to ja tam nie byłem od tego, ale że to w mięsopust ćłek jałowizny nie cierpi, to woli myśleć o spyrce, albo choćby i o kluskach, jak o babie, bo z tego większy prefit. I jakby mi przysło wybierać pomiędzy babskiem a świńskiem mięsem, to już wolę świńskie, bo ono nigdy kością w gardle nie stanie. Ale to wszyćko dobre w mięsopusty, a nie w poście. W poście, jak w człowieku ino powietrze po kiskach żałobnego marsia wygrywa, to i na babę jest więksa oskoma. Ale w nasej Psiej Wólce właśnie nawet w poście trudno porządnemu ćłekowi o babę zawadzić. Ino się do której ozwies delikatnie:

— Małpo, chces mnie? — to ona sie zaraz odwyrknie i pada:

— Odwal, pókim dobra! Idź se weź taką z miasta, co to pod spodnicą w portkach chodzi, kiedyś taki jentelígent, co się kces w poście zenić!

Gadam ja jem tedy, ze ja w poście chce ino popróbować, jak to zeniacka wygląda, jako ze to ćłek jest casowy, a jak sie wszyćko dobrze uwidzi, to po Wielgiejnocy, kiedy sie już kuždemu żywot naprawi, będzie mozna i do jegomości z opowiedziami popróbować. Ale te dziwki z nasy wsi to na taką duzą odległość zeniacki nie chcom, ino kuźda powiada, że bedziewa o tem gadać dopiro po świętach.

Ha no, co robić, jak tu mnie w nasy wsi żadna nie kce, to trzeba będzie pojechać gdzie do jakiego miasta, to tam sie łacwiej wszyćko da zrobić. Przecie wszyćkiem wiadomo, ze jak która z Psiej Wólki pojedzie na słuzbę do miasta, cy to do Krąkowa, cy Warsiawy, cy Lwowa, to ani rok nie minie, a juz jest zeniata. Po roku wraca znowu do Psiej Wólki, wprawdzie bez chłopa, bo ten zostaje pono na urzędzie w mieście, a przynosi se pędraka i ma śniego uciechę. Takie potem latają w Psiej Wólce za chłopami i powiadają: „Zeń się Maciek!" a jak się ich spytać, co będzie z tamtem miastowem, to mówią, że nim jegomość opowiedzi wywołają, to on moze za ten cas umrze, albo sie cosik jakosik zrobi i wszyćko będzie dobrze.

I juz nieraz to se tak myślę, że możeby to i dobrze było se wziąć taką wychadukowaną w mieście dzieuchę, bo przecie ona wie, co i jak się w małżeństwie robi, toby se ćłek nad tem po ożenieniu się głowy nie psuł, ale z drugiej strony strach człowieka bierze, że jakby ten miastowy jej śturkac nie umarł naprawdę, a przyjechał kiedy do Psiej Wólki, toby gotów ćłekowi jaką palicą jesce Weni kreature zaśpiwać. Bez to myślę sobie, ze juz lepiej tak jest, jak jest, a przecie, jak Poniezus zechce, to w końcu i na człowieka to małżeńskie niescęście przyjdzie.

Pieśń przedwiośnia.

O, przybądźże już do nas radosna wiosenko —
a wyjdziemy do ciebie przed chaty z piosenką,
zaśpiewamy ci razem, rozgłośnie zanucim,
że odśmiejesz się szczęściem do świata i ludzi...

Weźmiemy się za ręce i zatoczym koło,
by jak dzieci poigrać pląsami na łące —
aż z kwiatami uśnieżysz czekające sioło
aż podścielesz zielenią nam stopy tańczące.

I wywabi twój uśmiech pszczół roje złociste,
tłum jaskółek w powrocie gwarem się objawi —
zbudzisz kosa śpiącego — pól, lasów flecistę,
aby za nim ptaszkowie ozwali się żwawi.

Wwiedziem cię do chat czarnych tęsknotą i żalem,
a ubielisz ich ściany — i senne — orzeźwisz —
i umaisz je w pąki wierzb rozwite, białe —
i w kaczeńce, i w zdrowie pachnących modrzewi.

Wlot przed ciebie idziemy dusz zgodną harmonją,
widzim w polach biegnący stubarwny twój dywan —
a weselem się twarze nam kwiecą i płonią —
i młodnieje duch szczęściem — i z światem odżywa.

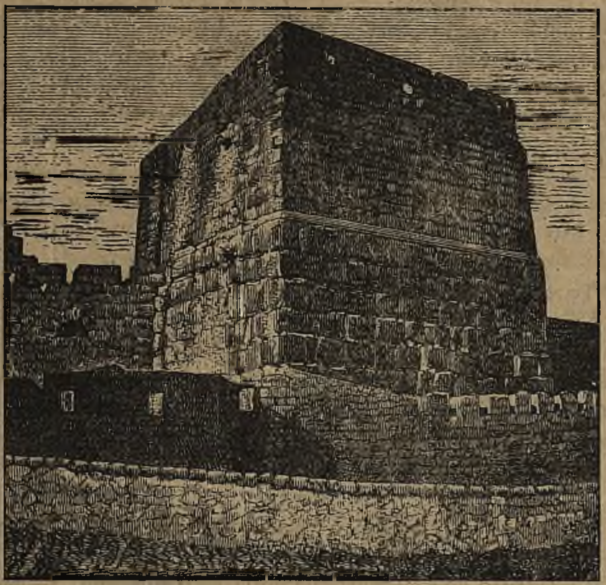
Hyżej dniami nadlatuj, miljonów kochanko,
zatańcz z nami miłośnie i lasom i łanom,
umaj serca zielonych tchnień twoich zbawieniem —
i na wieki nas zespól w radosnych rąk wieniec.

Franciszek Surówka.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Palestyna II.

W poprzednim numerze „Roli“ podaliśmy obrazek, przedstawiający Kościół Grobu Najświętszej Panny. Znajduje się on na Dolinie Jozafata, gdzie



Wieża Dawida.

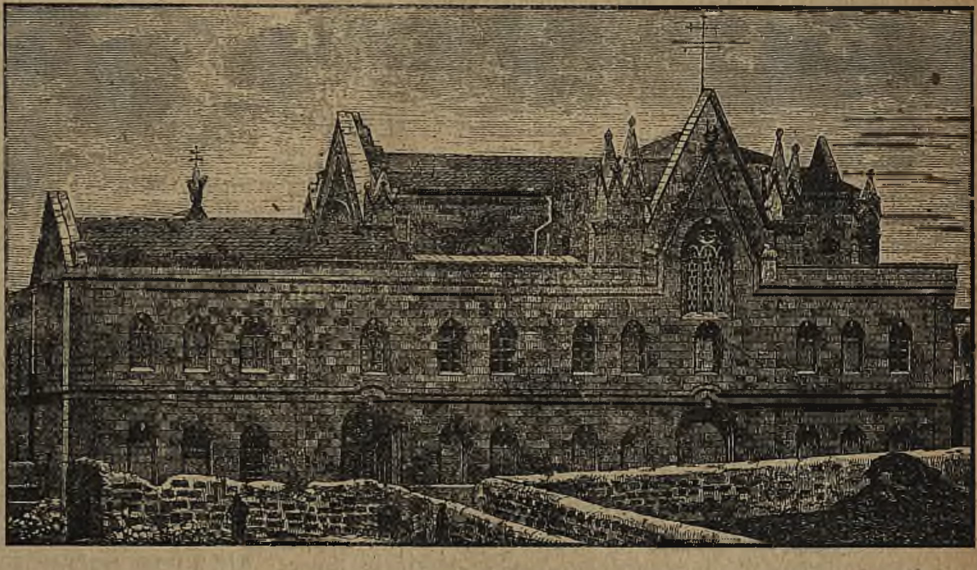
według przepowiedni odbędzie się Sąd ostateczny. Został on zbudowany przez Francuzów w XII stuleciu podczas wojen krzyżowych i na formę krzyża, którego prawe ramię jest znacznie dłuższe. W tem właśnie ramieniu znajduje się Grób Najświętszej Marji Panny w formie sześcianu o czterometrowej krawędzi, stojący na środku nawy. Pokryty był dawniej płytą marmurową, z której już niema żadnego śladu, a z kolumn marmurowych została jeszcze tylko sama podstawa. Sześcian ten kamienny, wyżłobiony ze skały, okryty jest teraz powłoką cementu, a te znowu osłania kobierzec.

W kościele jest kilka ołtarzy, które należą do różnych wyznań, chociaż pierwotnie cały kościół był wyłączną własnością katolików. W każdym razie kościół Grobu Najświętszej Marji Panny udało się katolikom choć częściowo utrzymać w swych rękach, inaczej było jednak z innymi zabytkami dawnej przeszłości. Nie udalo się utrzymać budowli na górze Syon. Tam znajduje się tak zwana Wieża Dawida, zbudowana za Heroda, a w różnych czasach rozmaicie przekształcana. Ponieważ stanowiła ona część warowni jerozolimskiej, przeto mahometanie nie chcieli jej z rąk swoich wypuścić. Choć to było bezprawiem, ale zajęli górę Syon, którą OO. Franciszkanie musieli opuścić. Przez jakiś czas zakonnicy marzyli o jej odzyskaniu, ale po upływie kilku lat stracili zupełnie nadzieję, tembardziej, że byli pozostawieni niemal własnym siłom. Od wojen krzyżowych aż do roku 1847 stolica patrjarchy jerozolimskiego była opróżniona.

Ostatnim patrjarchą z końcem wojen krzyżowych był Mikołaj Anapiis, który po wzięciu Jerozolimy przez Turków udał się do Ptolemaidy. Tam będąc świadkiem niezgody, zamieszania i rozpaczy chrześcijan, nie przestawał ukazywać im grożących niebezpieczeństw, wzywał ich do porządku, zachęcał do bohaterskiej odwagi w obronie wiary świętej. W ostatnich jeszcze wysileniach walki świątobliwy starzec dzielił niebezpieczeństwa rycerzy krzyża, dodając im otuchy i krzepiąc upadających na duchu. Ale daremnemi były już te usiłowania wobec nawały sił tureckich, które się jak wezbrane fale morskie wszędzie dokoła wciskały.

Przez kilka wieków trwało osierocenie kościoła jerozolimskiego. Dopiero papież Pius IX przywrócił mu dawną jego godność i zamianował patrjarchą księdza Józefa Walerge. Ten z całą gorliwością rozpoczął swą działalność w Palestynie. Wiedząc, że najwięcej tu zdziałać mogą kapłani katoliccy, sprowadzał ich więc z Europy i osiedlał, gdzie się tylko dało. Wprawdzie mahometanie patrzyli na to niechętnie, ale patrjarsze udawało się jakoś ich ugłaskać i tym sposobem liczba katolików szybko tam wzrastała.

Jednem z największych dzieł, jakiego dokonał patrjarcha, było zbudowanie świątyni i rezydencji patrjarchalnej w Jerozolimie. Aż do roku 1864 mieszkał ten dostojnik w małym domku, zbudowanym niegdyś przez OO. Franciszkanów dla przytułku pielgrzymów, przybywających celem zwiedzenia Ziemi świętej. Domek ten nieodpowiedni wcale dla patrjarchy, miał jeszcze tę niedogodność, że nie zdołał pomieścić personalu, jakiego potrzebował niezbędnie urząd i godność arcypasterza. Dopiero w roku 1859 rozpoczął budowę świątyni i pałacu patrjarchalnego, którego podobiznę widzimy na naszym drugim obrazku. W roku 1864 sprowadził się ze swojem otoczeniem do nowego zabudowania, a kościół nieco później wykończony, konsekrował dopiero w dniu 11 lutego 1872 roku.



Świątynia i pałac patrjarchy.

Gmach patrjarchalny ma trojakie przeznaczenie: 1) jest naprzód rezydencją patrjarchy i całego dworu jego, to jest wikarjusza generalnego, sekretarzy, kanclerza, teologów i księży orjentalistów dla słuchania spowiedzi po turecku, ormiańsku i grecku; 2) umieszczone w nim jest seminarjum, gdzie się kształcą przyszli kapłani; 3) są w nim jeszcze osobne pokoje dla przyjęcia misjonarzy, którzy od czasu do czasu muszą przybywać z prowincji do Jerozolimy.

Mówiąc o tej świątyni, nie można pominąć daru, jaki dla niej ofiarował cesarz austrjacki, Franciszek Józef I. Jest nim wspaniały ołtarz, cały lany z żelaza i grubo pozłacany. Ołtarz ten jest prawdziwą ozdobą owej świątyni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

VII.

Hrabia Zygmunt Żwirski.

Hrabia Zygmunt Żwirski, młodszy przyrodni brat nieboszczyka starościca, mieszkał jak wiemy w Orkizowie, o trzy mile od Oparek.

Hrabia Zygmunt Żwirski, pan co się zowie, potrzebował zmienić tylko swe imię, a mógł z takiem samem prawem uchodzić z pozoru za grafa niemieckiego, francuskiego markiza lub angielskiego lorda, z jakiem uchodził za polsko-galicyjskiego hrabiego.

Łatwo zrozumieć, że pan hrabia był przytem dumny. W oczach jego potrzeba być najprzód hrabią, aby mu się zbliżyć, a nie dość jeszcze hrabią, aby mu wyrównać.

Pan hrabia siedzi właśnie w swej kancelarji, zajęty sprawami majątkowemi. Lubo lat liczy dopiero czterdzieści jeden, wygląda znacznie starszy, czego przyczyny szukaćby po części w długich bokobrodach, które zapuścił na sposób angielski.



Hrabia Żwirski i Pankracy Żachlewicz

W towarzystwie pana hrabiego znajduje się druga jeszcze osoba, jakiś niski, cokolwiek na lewo skrzywiony człowieczek, którego wyraz twarzy niekoniecznie miłe sprawia wrażenie. W głębokich jamach osadzone, ruchliwe oczy, co choć z natury nie patrzą zyzem, zawsze jakieś ukośne rzucają spojrzenia, niezwyczajnie spiczasty nos, wąskie, zaciśnięte i zawsze w schlebiający uśmiech ułożone usta, starannie na skroniach przygładzone włosy, nadają mu coś fałszywego, obleśnego, prawie podłego.

Byłto pan Pankracy Żachlewicz, generalny rządca, czyli jak się sam nazywał pełnomocny pisarz orkizowskiego klucza, który od lat już kilkunastu zostawał w służbie hrabiego i Bóg wie jakimi środkami i sposobami w nieograniczone wkradł się u niego zaufanie.

Byłto niejako totumfacki (zaufany sługa) w najściślejszem tego słowa znaczeniu całego dworu, bo w swym przebiegłym rozumie uznawał za dobre i stosowne, jednak sobie zarówno łaskę i zaufanie pana hrabiego, jak i całej jego rodziny.

Nieprzyjaciele Żachlewicza gadali dość głośno i bezwzględnie, że nieoszacowany rządca, aby utrzymać się w służbie i łasce, cichaczem z własnej kieszeni dokłada pół na pół do wszystkiego.

Teraz przybył świeżo ze Lwowa i zdawał sprawę hrabiemu z kilku załatwionych spraw. Snać jednak sprawozdanie to nie bardzo opiewało pomyślnie, bo hrabia coraz bardziej chmurzył czoło, a Żachlewicz czuł potrzebę kłaniać się coraz niżej, uśmiechać się coraz obleśniej.

— Więc koniec końców przyjechałeś bez pieniędzy — ozwał się wreszcie hrabia.

— Jaśnie wielmożny panie, na uczciwość rozbijałem się jak opętany. Ale na uczciwość okrutnie ciężkie czasy... na uczciwość ja nie wiem, co to dalej będzie.

Hrabia milczał kilka chwil w zamyśleniu, a po chwili odezwał się na nowo:

— Powiedziałem ci przecie wyraźnie, że koniecznie potrzebuję pieniędzy.

— Pan nie potrzebował mi tego mówić tylko jednem skinieniem dać do zrozumienia, na uczciwość nie spadłbym, nie jadłbym...

Hrabia machnął ręką niecierpliwie.

— Jakaż nareszcie pozostaje rada? — zapytał z widoczną niechęcią.

— Posłać do Brunnentiefa.

Hrabia wstrząsł głową.

— Na lichwę — mruknął przez zęby.

— Na uczciwość jaśnie wielmożny panie, niema innego środka...

— Bój się aspan Boga — poderwał hrabia w złym humorze, — mam tak znaczny majątek, a coraz mniej pobieram dochodów.

— Na uczciwość, prosta rzecz jaśnie wielmożny panie! Coraz więcej rosną procenta. Jaśnie wielmożny pan uniósł się za daleko szlachetnością, ręcząc za hrabiego Teofila...

— Zatrzymaj aspan swoje wyjaśnienia, wykierujesz mię tak swojem gospodarstwem, że będę musiał sprzedać cały Ordasów z czterema siołami.

Po chwili jednak wracając hrabia do swej zwykłej flegmy, zapytał najspokojniej:

— A jesteśże pewien, że Brunnentief da?

— Ręczę za to.

Poczciwiec mógł ręczyć śmiało i stanowczo, bo właściwie swój własny podsuwał kapitał, a starozakonny Brunnentief miał służyć tylko za pośrednika.

Hrabia wzruszył ramionami.

— Ha cóż robić? — mruknął po chwili. — Pójdź do Brunnentiefa...

— To już jakby się stało jaśnie wielmożny panie, ale mam jeszcze jedno...

— Cóż znowu nowego?

— Będąc we Lwowie jaśnie wielmożny panie, byłem u tego sławnego dziś adwokata Rabulewicza.

— O cóż ci to chodziło?

— Przypomni sobie jaśnie wielmożny pan, że przed trzema laty, zaraz po śmierci nieboszczyka starościca i ogłoszeniu jego testamentu, radziłem na uczciwość jaśnie wielmożnemu panu wszcząć proces przeciw tak oczywistej krzywdzie...

Hrabia ściągnął brwi.

— Nie zgodziłem się na to — przemówił na pół z niesmakiem.

— Gdyby jaśnie wielmożny pan pozwolił zrobić sobie pewne przedstawienie... — cedził zwolna.

— Cóż chcesz powiedzieć?

— Adwokat Rabulewicz podał mi nieomylny sposób obalenia testamentu nieboszczyka starościca.

Hrabia żachnął się niechętnie.

— Nie myślę już podnosić tej sprawy.

Żachlewicz znowu nisko się ukłonił.

— Właśnie też trzebaby, aby ją podniósł kto inny.

— Kto inny?

— Jaśnie wielmożny pan srogą ucierpiałeś krzywdę. Według wszelkiego prawa Bożego i ludzkiego jaśnie wielmożny pan jesteś właściwym dziedzicem Żwirowa z przyległościami... — ciągnął dalej Żachlewicz.

— Oczywiście, mam większe do tego prawa, niż dzisiejszy jego właściciel... Ależ niepotrzebnie niegdyś powaśniłem się z bratem...

— Jaśnie wielmożny pan przecież nie po bracie, ale po ojcu ma odebrać spuściznę.

— Jakto po ojcu?...

— Ja myślę, że nieboszczyk starościc nie rozrządzał własnym majątkiem, to jest chcę mówić własną uzbieraną pracą, ale tylko spuścizną ojcowską, i w takim razie nie mał prawa przeznaczać go komuś poza obrębem rodziny, jak żaden monarcha nie ma prawa wyzuwać z korony swej rodziny.

Porównanie z monarchą wielce się podobało dumnemu panu.

— Mój kochany Żachlesiu — rzekł łaskawie do faworyta. — Takie prawa obowiązują niestety tylko monarchów. Tem nic nie wskórasz wobec sądu...

— Pan adwokat Rabulewicz podaje inny, nieomylny sposób...

— Ależ oszalałeś, to już sprawa zadawniona.

— Nie będzie, nią wcale wobec prawa..

— W żaden sposób, w żaden sposób — mruknął hrabia przez zęby więcej sam do siebie.

— Wiem, że jaśnie wielmożny pan zrezygnował już ze swej strony, ależ jaśnie wielmożny pan ma dzieci, a te mają święte prawa nie do mienia stryjaszka, ale do spadku po dziadku.

— Więc twierdzisz, że dziś jeszcze słusznym procesem można obalić testament nieboszczyka Mikołaja?...

— Ja sam podejmuję się na pewno.

— A cóż jabym musiał mieć w tem za udział?

— Prawie żaden, jaśnie wielmożny panie.

— Jakto? Nie potrzebowałbym nawet występować pod własnem imieniem?

— Bynajmniej, jaśnie wielmożny pan przystąpi tylko do gotowego. Ja przy pomocy pana Rabulewicza unieważnię testament nieboszczyka. starościca.

— Ale w jaki sposób?

Pan Żachlewicz zamiast odpowiedzi uśmiechnął się przebiegle, łypnął oczyma i brwi podciągnął w górę.

— Za co jaśnie wielmożny pan poczytywał zawsze swego nieboszczyka brata?...

— Za warjata, za półgłówka! — mruknął hrabia w pierwszym zapędzie.

— Basta! — wycedził Żachlewicz i głowę zwiesił na piersi. — Nieboszczyk starościc nie był poprostu spełna rozumu, a jako taki, nie mógł żadnych prawomocnych wystawiać dokumentów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WŁADYSŁAW WOJTASIK.

Przy orce.

Stary Śmietana spojrzał po świecie wzrokiem nieco zamglonym i zaczął się wolno a nabożnie żegnać...

— Czas ci święta ziemio do spoczynku, oj czas!...

Lejce założył na wychudzony kark i schwycił za pług.

— Wio kasztanki, wio!

Czarne, wyschłe połacie ziemi pięły się pod żelazem do góry i kładły się jedne wele drugiej do zimowego spoczynku. Wrony lecące z wrzaskiem kajś od lasu, jęły krążyć nad polem i ciężko osiadać na roli, wypatrując złodziejskim swym wzrokiem tłustych pędraków.

— A chlajta juchy, bo jak śnieg spadnie, to będzieta zdychać z głodu — mruczał Śmietana, oglądając się za siebie po przewaleniu kilku skib.

W polach cichość i pustka panowała zupełna, jeno kajniekaj bydło leniwie się włóczyło i dymy z pastuszych ogniów. Żałosna piosnka, krzyk ludzi przy ostatnich robotach, porykiwanie bydła, niosły się głucho po polach kieby po cmentarzu.

Wszystko, co dotąd tętniło radością i pełnią życia w promieniach słońca, konało wolno, zamierało z każdym późnym porankiem.

Słońce, zaropiałe jakiesik i zaspałe, leniwie włóczyło się po skrawku nieba i zbliska przyglądało się konającemu życiu.

Zrudziałe łąki wylegiwały się łakomie w ostatnich cieplejszych promieniach słońca, drzewa zczerniałemi kikutami gałęzi wyglądały z rezygnacją zbliżającej się zimy.

A ona szła w gromnicznych promieniach słońca, w dniach krótkich i zamroczonych, w cichości pól i tej jakowejś tęsknicy nieutulonej...

— Jesień juści... — wyszeptał Śmietana i przystanął, by skręcić papierosa i odetchnąć nieco, gdy wtem stary Lesiak wyszedł zza górki.

— Szczęść Boże! Andrzeju!

— Dej Panie Boże! Witajcie Antoni!

— Bóg zapłać. Cóż ta pod siew już orzecie?

— A bogać tam, nie pod co insze. Czas już ano, choć ziemia kiej ten kamień.

— Oj pewnie — przytwierdził Lesiak, podchodząc do Śmietany — jako że latoś same jeno susze a spieki panowały.

Przywitał i się wolno i z godnością, jak na starych gospodarzy przystało.

— Gdzież ta na noc lecicie? — pytał Śmietana.

— A do gminy idę, bo ta pono od Pietrka pieniądze la Zośki są.

— Niby od tego z fabryk? — pytał Śmietana, choć go ta bardzo to nie interesowało.

— Juści, od Noconia — przytwierdził Lesiak.

Stali obok siebie wysocy i rozrośnięci w barach kiej dęby, choć siwi już i pochyleni przez trud życia.

— A to misjonarze już do naszego na plebanję na niedzielę zjadą, wiecie to? — zagadnął Lesiak.

— Eee? — wyciągnął ciekawie Śmietana — dyć dopiero po kopaniach zjechać miały.

— Ano tak ta po wsi przódzi gadali, ale ksiądz wczora zapedział, iż misje od przyszłej niedzieli się zaczną.

— Nie bełem ta wczora w kościele, bo mnie w sobie okrutnie bolało — usprawiedliwiał się Śmietana.

— Czybyście i wy Andrzeju na księżą oborę już patrzali czy jak? — zaśmiał się Lesiak.

— Ha! moiściewy, cóż sie ta dziwować, stary jezdem, a ciągiem się jeszcze za robotę biorę, jako że mi się bez niej i ckli. Zreśtą ma to chłop czas leżeć jako inne? Ciągiem harować, a zabiegać musi...

— Boby inaczej zdechł — zakończył z przekonaniem Lesiak i zeszedłszy ku grzędzie, puścił się nią ku drodze, że mu ino gacie z pod zawiniętych portek migać zaczęły na tle czarnej roli.

Śmietana zabrał się do orki.

Na świecie było posępnie i szaro. Niebo zaciągnięte chmurami, kiej płótnem parcianem, wisiało nieruchomo nad światem kiej nieme. Mgła, która zasnuła las,zatopiła wierzby nad drogą i spowiła wieś, zaczęła tłuc się po polach. Zdaleka ode wsiów dolatywało szczekanie psów i gorączkowe bicie cepów. Wrony z wrzaskiem leciały od pól do lasu, bo dobrze już się ku wieczorowi miało.

Śmietana przystanął znów, bo mu jakoś w piersiach gorzej zatkało, a kości drzeć go czegoś poczęły. Ognie wystąpiły mu na całe ciało, a równocześnie zaczęło go trząść zimno.

— Odpocznę se ino trochę, a później zjadę do chałupy — mruczał, siadając wolno i z wysiłkiem na grzędzie.

Dzień dziś w pracy był nie la niego, że to co chwila robotę przerywał i wypoczywał.

Siedział markotny na roli, a krótki, świszczący oddech wydzierał się z trudnością ze starczych piersi.

Ostatniemi czasy podupadł na zdrowiu, bo ta i wyrobiony już był kiej ten wół nieprzymierzając. Dzieci mu robić już nie dały, toby się pod pierzyną wylegiwać mógł, stać go przecie na to.

Dyć ze siedemdziesiąt roków już przeżył, najstarszy we wsi był. Mimo to roboty się nieraz jeszcze najcięższej chytał, a orki na ten przykład, to już nikomu nie popuścił, ani synom, ani zięciowi. Spapraliby ino, zbeliby belejak. A ziemia żyjąca przecie jest i swego też potrzebuje.

— Siedemdziesiąt roków!...

Wiadomo to, czy wiesny dożyje, czy będzie się lubował jeszcze oddechem ziemi powstającej z długiego, zimowego snu.

Hej! orka, orka!....

Hej! rola, rola ukochana!...

Pogładzić ją pługiem trza, do zimowego spoczynku troskliwie ułożyć.

— Rolo! rolo miłościwa! karmicielko jedyna!... szeptał Śmietana i siwą głowę ku ziemi pochylił.

Myśli bezładne i poszarpane jakieś, kiej te chmury jesienne, po głowie chodzić mu zaczęły.

...Lesiak tu był juści, o misjach mu gadał. Z pięćdziesiąt lat już, jak ostatnie misjonarze były, bo później ruskie nie dały. Dyć baczy je, bydło jeszcze wtedy pasał za lasem pod krasowskiemi łąkami. — Niema już tego lasu, żydy go od dziedzica kupiły i wyrąbały. I on bydła później już nie pasał, jakżel tylachny parob już był, do roboty cięższej zdatny, do orki, do młocki i inszych robót gospodarskich. — Robił więc od świtu do nocy u ojca.

He! ociec... świeć Panie duszy jego, gospodarzem dobrym nie był, nie! A wszyćko przez tę wódkę zatraconą. Karczma była we wsi, to ciągiem ino w niej przesiadywał i zapijał się do nieprzytomności. Sam nic nie robił, ale w chałupie wszyćko krótko trzymał i do roboty gonił. Ano, ociec był... I pił, pił, aż się zapił na śmierć. Owczarz ze dwora, któren ludzi nieźle lekować poradził, gadał, iże mu się płuca na węgiel spaliły. Na węgiel...

Po śmierci ojca on gospodarkę objął, jako że najstarszy był. Innych pospłacał, tylko Antek i Marysia części po matce wzieni. A on się ostał sam na półwłóczku ornej ziemi, gospodarz całą gębą. Babę gospodarną se dobrał, to wszyćko juści w oczach rosło. Magda jej było na imię. Hej! Magda!... Jak malwa kwitnąca wyglądała, a z tyłu baba kiej piec. I żył z nią długo, hej! długo... Sześcioro dzieci spłodził, czterech chłopó kiej byków wychował i dwie dziewuchy. Najstarszy Franek bardzo zaradny jest i gospodarny. Do niego się wrodził. Magda zaś na tyfus przez wojnę pomarła nieboga.... Pomarła... a on się sam ostał kiej ten dąb spróchniały w polu samotnie stojący. Hej! Magda, Magda!...

Myśli mu się zaczęły mącić, obrazy jakieś dziwne przed oczyma stanęły.

I udało mu się oto, że dzwony biją na sumę, a lud wystrojony grząbami i drożynami wali do kościoła,

Migają kraśne chusty i kiecki, kiej maki polne w zbożu wiatrem potrząsane. A wszystkie piękne nad podziw, ale Magda najpiękniejsza z całej parafji. Widzi ją oto, idzie z ojcem i coś gada i na niego się obziera.

— Magda! Magda!... — wyszeptał Śmietana.

To znowu zdaleka hen! zdaleka dolatuje go jakisi gwar leciuchny. To wiaterek gwarzy ze złocistemi łanami zbóż, potrząsa niemi i łechta je, a one roześmiane do niego z uśmiechem się chylą...

Hej! łany, złociste łany!...

Lecz wnet nikną mu oto z oczu, a jeszcze się zdaje, że w południe do lasa idzie suszkę na opał ściąć.

A las, któren drzemał w to skwarne połednie, poznał gospodarza i gnie mu się w pokłonach i śmieje do niego i ruchem konarów do siebie z godnością zaprasza.

Hej! lesie, lesie!...

Stanął pod czarną ścianą boru i na świat patrzy skąpany w promieniach słońca, na śpiący szereg chałup wele drogi... na te łąki omdlałe patrzy, tonące w powodzi żółtych kaczeńców... na kościół, który w tej ciszy wieżą nieruchomą sennie i leniwie po świecie pogląda.

Hej! świecie, świecie!...

I cisza... cisza taka jak w czas Podniesienia, a jemu jakoś tak błogo, tak w sercu się robi, że chce mu się w tej powodzi kwiatów wykąpać, ten las mocarny przytulić i te szemrzące złociste łany wycałować...

Hej! życie, życie!...

— — — — — — — — — — — — — —

Mrok zapadł już zupełny, a stary Śmietana leżał wele grzędy rozciągnięty, twarzą do ziemi, jakby puls zamierającej ziemi ostatni raz usłyszeć chciał o słowo pożegnania prosić.

Wicher się zerwał skądś od wschodu i po roli węszył, jakby starego gospodarza Śmietany szukał.

A on leżał rozciągnięty kiej ten parob wypoczywający po ciężkiej robocie. Ręce rozkrzyżował, jakby z ziemią ukochaną pragnął się pożegnać długim, ostatnim miłosnym uściskiem.

Konie, które dotąd skubały spokojnie trawę na sołtysowej łące, zaczęły wolno iść ku wsi.

A stary Śmietana leżał spokojnie na roli...

— — — — — — — — — — — — — —

— Jušci zmarło się ojcu, zmarło — mówił nieco smutnawym głosem Franek Śmietanka do stojącego na grzbie Noconia, zięcia Lesiakowego, któren od fabryk przyjechał do baby zajrzeć.

— Na roli pono pomarł przy orce? — dopytywał się Nocoń.

— Ano prawdę rzec chłopie, to prawie na roli, boświa go na niej nieprzytomnego naleźli i do chałupy znieśli, gdzie na drugi dzień pomarł i przytomności nie odzyskał. Dzisiaj dwa tygodnie jak my go pochowali.

— Chorował przódzi pewnie? — pytał Nocoń.

— Jušci ciągiem na bóle w dołku narzekał i słabości miewał... Nie dali my mu robić, ale słuchał to? W pole go cosi ciągło, aż pomarł na roli...

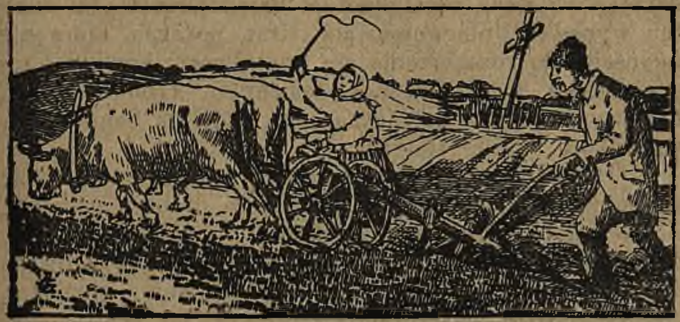
— Cie... nie wiada kaj cię śmierć ułapi. Toś tera po ojcu ty gospodarz?

— Ano jušci... — wyrzekł nieco frasobliwie Franek.

Nocoń pożegnał się z nim i do wsi się skierował.

Franek Śmietanka westchnął ciężko, ale że słońce jesienne ku zachodowi się już miało, więc raźno zabrał się do orki, bo przed wieczorem do chałupy chciał zjechać.

— Ano ja po ojcu tera... — wyszeptał i za chwilę zniknął za górką pochylony nad pługiem.



Poradnik gospodarczy.

Wady mleka.

Skład mleka nie jest rzeczą stałą; mogą w nim występować odchylenia, a nawet wady i zmiany organiczne. Najczęściej spotykamy następujące wadliwe gatunki mleka.

Mleko wodniste — zawiera zbyt wielką ilość wody — a za małą tłuszczu; mleko takie może pochodzić od krów — przeziębionych zimną wodą — lub trzymanych w zbyt zimnej oborze na przeciągach; oprócz tego mleko wodniste może pochodzić od krów chorych na zaburzenia żołądkowe, lub wreszcie i wskutek żywienia krów dojnych paszą wodnistą — zawierającą za mało białka i krochmalu.

Mleko kwaśne — jest to mleko — które kwaśnieje prędzej niż zwykłe; po skwaśnieniu mleko takie ma wygląd mleka zwarzonego. Przyczyną takiego zjawiska najczęściej bywają upały. — a właściwie duszne powietrze w oborach. Ażeby zapobiec takiemu kwaśnieniu mleka, należy zaraz po wydojeniu krowy, mleko ostudzić do 10 stopni Celzjusza, albo też ogrzać do temperatury 70 do 80 stopni C. i natychmiast ostudzić do temperatury 10 stopni Celzjusza — w ten sposób zabija się zarazki, powodujące zbyt szybkie kwaśnienie.

Mleko sine, na którem ukazują się sine plamki lub niebieskie żyłki, jest zarażone przez pewne bakterje. Pod tą zabarwioną powłoką znajduje się bezbarwna ciecz, gorzka o nieprzyjemnym zapachu.

Przyczyną tej wady jest wilgoć w oborze, zła, zepsuta i stęchła pasza, zadawana dojnym krowom, pozatem brudne i niechlujne utrzymywanie obory, krów ich wymion, rąk dojarzy i naczyń do mleka.

Mleko ciągliwe lub śluzowate powstaje wskutek zanieczyszczenia naczyń do mleka, jak również przez brudne utrzymanie obory.

Mleko gorzkie — może być objawem choroby krowy — występuje n. p. przy chorobie nerek, pęcherza, żołądka, — czasem wskutek nadmiaru skarmionych ziemniaków lub zepsutej paszy. W tym wypadku należy dwa razy dziennie obmywać wymiona, a głównie strzyki 2-procentowym roczynem sody oczyszczonej; mleko gorzkie, poza gotowaniem, należy jeszcze gotować w ciągu 6 do 8 minut.

Mleko czerwone — może być spowodowane przez różne bakterje, rozwijające się w zabrudzonych naczyniach; mleko takie można oczyścić, cedząc przez watę mikroskopijną; używać tylko po przegotowaniu.

Mleko krwiste — jest objawem zapalenia wymienia u krowy, występuje po zjedzeniu przez krowę niektórych roślin szkodliwych, jak skrzyp, ostromlecz i t. p. Może być również spowodowane przez kleszcze, wpijające się w skórę krów na pastwiskach leśnych. Mleko takie — po przecedzeniu — koloru nie zmienia; używać go nie należy.

Jak zapobiegać wadom mleka?

Ogólne zasady zapobiegania tym wadom mleka są następujące: Przedewszystkiem należy utrzymywać zawsze czystość w oborach i izbach, służących do przechowywania mleka.

Dbać o czystość krów, ich wymion, o czyste powietrze i o czystą ściółkę w oborze, o czystość naczyń, używanych do mleka. Chronić krowy przed przeziębieniem, żywić je paszą dobrą, świeżą, a poić je wodą czystą, niezbyt zimną. Nie należy nigdy karmić krów w czasie dojenia — ponieważ to zmniejsza udój i zaśmieca mleko. Mleko od krów chorych lub podejrzanych przechowywać i używać oddzielnie — nie mieszać go nigdy z mlekiem od krów zdrowych.

Poradnik lekarski.

Obłęd. Jest to choroba umysłowa, która powstaje z powodu zmian mózgu, który nieprawidłowo działa i w błąd wprowadza świadomość. Obłąkanego nie należy karcić, ani pouczać, ponieważ tem go się tylko rozdraźnia. Nie należy być ani zbyt surowym, ani zbyt pobłażliwym. Należy go strzec pilnie, a przytem pousuwać z pobliża przedmioty ostre, noże, siekiery i t. p. Gwałtownym, założyć kaftan bezpieczeństwa, który można przyrządzić z mocnej koszuli, lub surduta, w którym rękawy przyszywa się wzdłuż wewnętrznej powierzchni do boków. Na bezsenność pomagają często zimne, dobrze wykręcone okłady, na całe ciało.

Obłęd u pijaków. Powstaje z powodu nadużycia alkoholu. Zimne kąpiele, kilka razy dziennie (18° R.) przez 8 do 15 minut, z zimnym, często zmienianym okładem na głowę.

KRONIKA.

Dymisja gabinetu prof. Bartla. I znowu rząd polski ustąpił. Stało się to w piątek 14 b. m. Socjaliści nie mogli znieść ministra Prystora, który w wielu Kasach chorych odebrał gospodarkę z ich rąk, a zamianował w nich komisarzy rządowych, aby w Kasach chorych robili porządek. Jakiś czas było cicho, dopiero w ubiegłym tygodniu socjaliści postawili wniosek o wyrażenie wotum nieufności min. Prystorowi. Przeciw wnioskowi głosowali posłowie Bezpartyjnego Bloku i Frakcja rewolucyjna; przed głosowaniem członkowie Stronnictwa chłopskiego, Klubu niemieckiego i żydowskiego wyszli z sali, za wnioskiem głosowała reszta stronnictw, wobec czego wniosek został uchwalony. Premjer Bartel, solidaryzując się z ministrem Prystorem, zgłosił zaraz po uchwale sejmu dymisję całego rządu.

Wypadek lotniczy w Zakopanem. W niedzielę 9 b. m. odbyły się w godzinach popołudniowych nad Zakopanem propagandowe loty i pokazy eskadry samolotów z Krakowa, które zakończyły się katastrofą już niemal w końcu pokazu, Samolot pilotowany przez por. Łagiewskiego w momencie dokonywania ewolucyj na niewielkiej wysokości nad głowami widzów, wskutek uszkodzenia śmigła opadł gwałtownie na ziemię, na szczęście już poza licznym tłumem widzów. Śmigło, podwozie i dolne części skrzydeł przy zderzeniu z ziemią uległy strzaskaniu. Pilot jednak wyszedł bez szwanku.

Pisarz gminny oszustem. Policja lwowska aresztowała Jana Serwatczaka, sekretarza gminnego i Jana Bobra, radnego, z Prus pod Lwowem, za oszustwo na szkodę Miejskiej Kasy oszczędności we Lwowie. Do Miejskiej Kasy oszczędność wpłynęło z końcem maja 1929 podanie Kazimierza i Rozalji Drozdów o pożyczkę wekslową w wysokości 1.200 zł. za poręczeniem Józefa Pietrzaka i Karola Wojtyckiego, gospodarzy, zamieszkałych również w Prusach pod Lwowem. Do podania był dołączony arkusz posiadłości gruntowej Kazimierza Drozda, pozatem zaświadczenie naczelnika gminy, tak że Drozd jak i jego poręczyciele są gospodarzami rolnymi i mieszkają stale w Prusach. Dnia 3 czerwca załatwiono przychylnie podanie Drozdów i wypłacono im 1.000 złotych. Pierwsza rata była płatną 3 września ub. r. W tym dniu jednak Drozdowie nie wykupili weksla, który z tego powodu został zaprotestowany. Po zaprotestowaniu zgłosił się w Miejskiej Kasie oszcz. Kazimierz Drozd i oświadczył, że nigdy nie starał się o pożyczkę w tejże Kasie i weksla nie podpisywał, a nazwiska Pietrzaka i Wojtyckiego są zmyślone, gdyż tacy nie mieszkają w Prusach. W kilka dni po opisanych wypadkach otrzymała Miejska Kasa Oszczędności dwa anonimy, których nieznany autor za wynagrodzeniem w wysokości 500 zł. przyrzekł zdradzić kto sfałszował podpisy na wekslach i kto pobrał gotówkę. Z oferty tej dyrekcja Kasy nie skorzystała, natomiast zawiadomiła o wszystkiem policję. Po dochodzeniach przeprowadzonych okazało się, że anonimy te pisał Jan Serwatczak, sekretarz gminy Prus, liczący lat 33, którego też na miejscu zaraz aresztowano. Aresztowany wydał swoich wspólników, mianowicie Jana Bobra, lat 32 i Stanisława Drozda, lat 28. Wymienieni w trójkę dokonali oszustwa. Mianowicie Stanisław Drozd postarał się o arkusz posiadłości na nazwisko Kazimierza Drozda, Serwatczak sfałszował dowody i opatrzył je pieczęcią gminy, a pozatem Stanisław Drozd sfałszował podpis wójta. Następnie Drozd Stanisław jako Kazimierz Drozd podjął pieniądze, Serwatczak figurował w Miejskiej Kasie oszczędności jako Karol Wojtycki, a Jan Bober jako Józef Pietrzak. Po zainkasowaniu 1.100 złotych podzielili się gotówką w ten sposób, że Serwatczak wziął 400 zł., Bober 160 zł., a resztę Drozd. Spólnicy umówili się, że w razie wykrycia oszustwa Drozd weźmie całą winę na siebie, ponieważ nie posiada żadnego majątku i Kasa nie będzie mogła w żaden sposób wyegzekwować od niego swej pretensji. W toku śledztwa okazało się, że Drozd ma jeszcze i inne sprawki na sumieniu. Mianowicie swego czasu włamał się do Kółka rolniczego w Prusach, skąd wykradł szereg najrozmaitszych rzeczy. Obecnie wydal spólników i w tej sprawie prowadzi policja osobnę dochodzenia. Ponieważ dwaj oszuści mają grunta, przeto Miejska Kasa oszczędności nie poniesie żadnej straty. Wszystkich trzech aresztowanych oszustów odstawiono do więzienia sądowego.

Wielki pożar w Borysławiu. Borysław był onegdaj widownią wielkiego pożaru. Oto w ogniu stanęła tam wieża wiertnicza kopalni „Gottesman". Najpierw zapaliły się nagromadzone w dolnej części wieży łatwopalne urządzenia kopalniane. Następnie ogień w mig objął całą drewnianą wieżę wiertniczą, która spłonęła doszczętnie wraz z całkowitym inwentarzem. Na miejscu wypadku interwenjowała straż pożarna, która nie dopuściła do rozszerzenia się szalejącego żywiołu, zagrażającego już poważnie sąsiednim zabudowaniom. Przyczyny pożaru dotychczas nie ustalono. Szkoda wynosi około 30.000 złotych.

Oszust. Od dłuższego czasu grasuje w powiecie kołomyjskim i okolicznych powiatach osobnik podający się za członka Związku inwalidów wojennych w Kołomyji i wyłudza od nieświadomych wieśniaków, inwalidów wojennych i wdów po inwalidach sumy pieniężne pod pretekstem wystarania się o podwyżkę renty inwalidzkiej i t. p. zasiłków. Osobnik ten był widziany w Berezowie. Gwoździcu i Jabłonowie powiatu kołomyjskiego oraz w powiecie kosowskim i horodeńskim, gdzie wyłudził od różnych osób pieniądze, które sobie przywłaszczył. Policja jest na tropie niebieskiego ptaka.

Ośm lat za zabicie brata. Przywiązanie ludności wiejskiej do ziemi jest wprost fanatyczne. Dla skrawka ziemi o minimalnej wartości, niejeden z nich poświęca zdrowie, życie, wolność własną i szczęście rodziny. Podobny fakt miał miejsce w Niżniowie Dolnym, pow. dolińskiego. Mieszkali tam dwaj bracia Ołeksa i Andrzej Melnykowie. Przywiązanie ich do siebie było wprost przysłowiowe i we wsi nieraz wskazywano na nich jako na przykładnych braci. Natura ludzka jednak zmienną jest. Okazało się to, gdy obaj bracia otrzymali w spadku grunta po ojcu ś. p. Iwanie Melnyku. Wspólne ich grunta łączyła miedza szerokości około 65 cm. o śmiesznej wprost wartości. Mimo to na tle posiadania tej miedzy przychodziło między braćmi często do zniewag ustnych i czynnych, które sąd musiał rozstrzygać. Ostatnio nastąpiła scysja między braćmi 29 października 1929. W trakcie kłótni przyszło do rękoczynów, przyczem Ołeksa uderzył brata kołem po głowie tak nieszczęśliwie, że nastąpiło pęknięcie kości potylicowej, co spowodowało silny krwotok, a następnie śmierć. Ołeksa, widząc straszne skutki swej porywczości, rzucił się z płaczem na dogorywającego brata, usiłował go cucić i ratować, atoli bezskutecznie. Wkrótce potem Andrzej Melnyk wśród mąk zakończył życie. Obecnie stawał Ołeksa Melnyk przed sądem przysięgłych w Stryju, oskarżony o zbrodnię bratobójstwa. Na podstawie werdyktu przysięgłych trybunał, w uwzględnieniu okoliczności łagodzących, zasądził bratobójcę na karę ciężkiego więzienia przez 8 lat.

Pies przemytnikiem. Na szosie Tarnowskie Góry-Repty Nowe śląska straż graniczna zatrzymała psa wilczura, przy którym znaleziono przemycone z Niemiec do Polski jedwabie, firanki i t. p. drobne rzeczy, ogól-

nej wartości 1.200 zł. Jak się okazuje, wilczur był specjalnie wytresowany przez Franciszka Starzyca, który będzie odpowiadał przed sądem za uprawianie przemytnictwa. Psa umieszczono w urzędzie celnym w Lublińcu.

Zmiażdżony w oczach narzeczonej. Wstrząsający wypadek zdarzył się w Skierniewicach. 23 letni czeladnik młynarski, Marjan Ciechanowski, zaprosił swoją narzeczoną do młyna, chcąc jej pokazać funkcjonowanie maszyn. Czule rozmawiając, jak zwykle zakochany, puścił maszyny w ruch i w pewnej chwili wpadł w tryby jednej z maszyn. Pociągnięty przez pas transmisyjny, dostał się na koło rozpędowe, które z całą siłą wyrzuciło go aż pod sufit. Nieszczęśliwego robotnika dosłownie zmiażdżyło w oczach narzeczonej, która na ten widok doznała ciężkiego wstrząsu nerwowego.

Podwójne morderstwo w Warszawie. W ubiegłym tygodniu na Woli, przy ul. Bema w Warszawie, wynikła awantura, w której dwie osoby poniosły śmierć. Około godz. 12 w nocy z restauracji przy ul. Bema wyszło 4 robotników fabryki Lilpopa i udało się w stronę przejazdu kolejowego. Zatrzymawszy się po pewnej chwili na ulicy, zaczęli rozmawiać. W tej chwili nadszedł z przeciwnej strony niejaki Władysław Kopeć, właściciel piekarni, który wszczął z robotnikami awanturę i wyjąwszy rewolwer, zaczął do nich strzelać. Robotnicy rzucili się do ucieczki. Kopeć, strzelając, pogonił za nimi. Wystrzeliwszy wszystkie naboje, włożył do rewolweru drugi magazyn i strzelał dalej. Jedna z kul ugodziła robotnika Szyczkowskiego, który padł trupem na miejscu. Kopeć postrzelił nadto przechodnia Władysława Kwietnia, biorąc go za jednego z przeciwników. Kwiecień zmarł w szpitalu. Przechodnie, rozbroiwszy zabójcę, chcieli dokonać na nim samosądu. Z rąk rozjuszonego tłumu wyrwała Kopcia policja i odprowadziła do aresztów.

Miłość rodzicielska. Przed kilku miesiącami zmarła w Warszawie młoda Chinka, Marta Sun-Chin-Lin, która występowała tam w cyrku. Pochowano ją na cmentarzu dla bezwyznaniowych według rytuału buddyjskiego. W ubiegłym tygodniu zjawił się w Warszawie niezwykły gość. Przy pomocy tłumacza, pewnego Chińczyka, mieszkającego stale w Warszawie, oznajmił dozorcy cmentarza, że jest ojcem owej zmarłej Chinki i przybył umyślnie z Chin do Warszawy na grób córki. Chińczyk, liczący 60 lat, przebywał przy grobie ukochanej córki przez cały dzień do późnego wieczora, poczem następnego dnia odjechał do Chin.

Duch w zamku hrabiowskim. W zamku hrabiego Hunyadi na Węgrzech zachodzą od pewnego czasu niepokojące i niezwykłe zjawiska, których umysł ludzki nie może sobie wytłomaczyć. Mianowicie co nocy o jednej i tej samej porze ktoś puka kilkakrotnie i wyraźnie do okna drugiego piętra. Z początku przypuszczano, że idzie o głupi żart któregoś z domowników. Rozpoczęto tedy kontrolę; kilku służących pilnowało owego tajemniczego okna. Pukanie powtórzyło się znowu. Otworzono okno, ale nie ujrzano żadnej drabiny, ani żadnego narzędzia, które umożliwiłoby żartownisiowi dosięgnięcie okna. Następnej nocy na odgłos pukania strzelono nawet w okno, rozstrzaskując szyby, ale i tym razem nie przychwycono „ducha". Wreszcie hrabia postanowił zasłonić okno grubą kotarą. Ale „duch" w oznaczonej porze kotarę odsłonił i zapukał mimo wszystko. Wobec tego na miejsce tajemniczych pukań zjechała komisja naukowa, która ma zbadać przyczynę owego pukania.

Atak matek na szpital. W szpitalu dziecięcym w Zossen, w pobliżu Berlina, przyszło przed kilku dniami do istoinego buntu matek, których dzieci przebywały tam w szpitalu. Każdej niedzieli po południu mogli odwiedzać rodzice swe pociechy. Lecz owego dnia, w którym doszło do niezwykłych zaburzeń, zabroniono rodzicom wstępu z powodu zapadnięcia dzieci na szkarlatynę. Przeszło sto kobiet, które zgromadziły się przed bramą szpitala dziecięcego, popadło z powodu tego zakazu w niesłychane wzburzenie. Wtem jedna z nich zawołała: „Jakto? Nie chcą nas dopuścić do naszych dzieci? A może one potrzebują naszej pomocy? Może są umierające? Nie, nie pozwolimy na taką tyranję! Dalej za mną!" I ruszyła naprzód, a za nią inne kobiety. Wyważyły one bramę i wtargnęły do wnętrza. Zarząd szpitala zaalarmował natychmiast policję, która z trudem zaprowadziła porządek i spokój.

Karty pocztowe watykańskie ukazały się dnia 16 b. m. Są one koloru żółtawego, w pośrodku widnieje herb państwa papieskiego oraz podwójny napis „Cartolina Postale". Na marce są reprodukowane tjara i klucze św. Piotra w kolorze czerwonym.

Dar dla niewiernej. Powiadają, i może nie bez powodu, że zakochany człowiek zupełnie głupieje. Że tak jest, świadczyłby fakt, jaki zdarzył się obecnie na Litwie kowieńskiej. Oto żona jednego z wyższych urzędników porzuciła męża swego i uciekła ze śpiewakiem. Mąż wściekły, a kochający ogromnie żonę, postanowił zemścić się na niej. Zrazu chciał oboje zabić, ale gdy zwrócono mu uwagę, że groziłoby mu za to długoletnie więzienie, zdecydował się na coś innego. Oto posłał niewiernej żonie małą paczkę, w której znajdował się jego serdeczny palec, przyozdobiony w obrączkę ślubną. Zemsta istotnie szczególna, świadcząca zarazem, że miłość odbiera rozum.

Krwawy dramat na obczyźnie. W przystępie szału, spowodowanego nadmiernem użyciem alkoholu, popełnił krwawą zbrodnię polski górnik, Stanisław Michniak, zamieszkały we francuskiej miejscowości Anzin. Michniak miał odjechać do Polski i urządził dla swoich przyjaciół ucztę pożegnalną. Z uczty tej wrócił do domu zupełnie pijany. W domu chciał pić dalej i zszedł do piwnicy. Żona jego udała się tam za nim. Co się stało w piwnicy, niewiadomo. Po chwili bowiem wyszła z niej chwiejnym krokiem żona Michniaka. Miała głowę rozbitą siekierą. Ciosy zadał jej pijany Michniak. Żona trzymała na ręce niemowlę, które oblane było krwią. Michniak usiłował następnie popełnić samobójstwo i zadał sobie straszne rany siekierą. Zbrodniarza aresztowano. Żona jego umarła wskutek odniesionych śmiertelnych ran.

Trzy miljony małżeństw rocznie. Według ogłoszonego obecnie sprawozdania liczba małżeństw w Europie wzrosta po wojnie w sposób bardzo wydatny. Nie licząc Rosji sowieckiej, gdzie jeden i ten sam człowiek niemal co drugi dzień może się żenić z inną kobietą, liczba małżeństw zawartych w 1929 roku doszła w Europie do trzech miljonów, podczas gdy w roku 1928 było ich o pół miljona mniej. Jest to objaw pocieszający dla wszystkich Staś, Kaś, Kaź, Juleczek, Haneczek i innych panieneczek.

Czy gruźlica jest dziedziczna? Na pytanie to lekarze odpowiadali dotychczas niemal zawsze twierdząco, a jednak najnowsze badania okazują, że może to być i nieprawdą. Sprawę tę badano w Instytucie Pasteura w Paryżu, jak dotychczas tylko na zwierzętach, które podobnie jak człowiek podlegają gruźlicy i przekonano się, że młode, wyjęte z łona matek, chorych na gruźlicę, mają płuca zupełnie zdrowe. Wobec tego badacze ci twierdzą, że dziecko matki gruźlicznej przychodzi na świat zupełnie zdrowe, a dopiero potem zaraża się od matki. O ileby to było prawdą, to dzieci matki suchotniczej możnaby łatwo uchronić od tej stra-

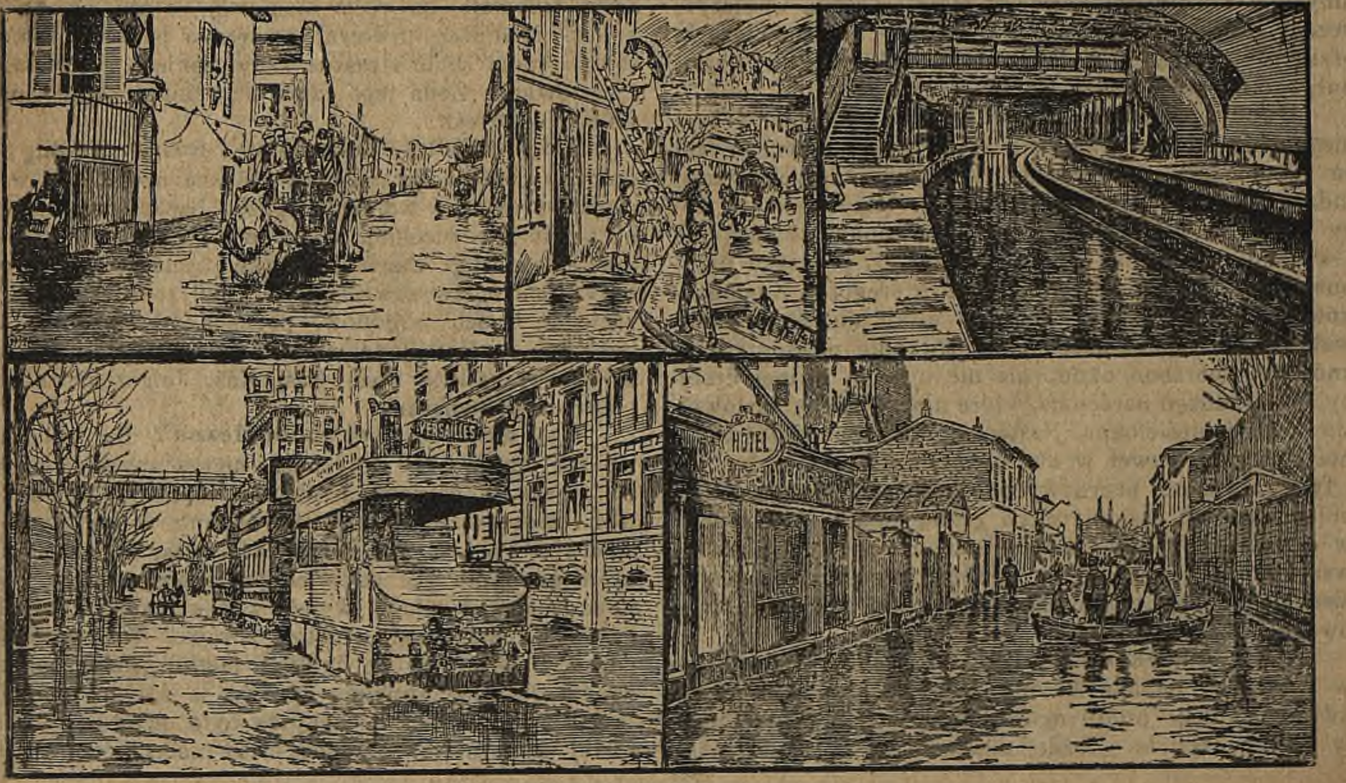
sznej choroby, oddając je natychmiast po urodzeniu na wychowanie zupełnie zdrowej mamce.

Pływające więzienie. U wybrzeża francuskiej Guyany znajduje się „Czarcia Wyspa", najokropniejsze miejsce zesłania dla skazańców francuskich, gdzie swego czasu odsiadywał karę Dreyfuss. Już oddawna sfery postępowe damagały się zwinięcia tego miejsca zesłania i w ostatnich wyborach do parlamentu hasło to popierało wielu posłów. Mimo to „Czarcia Wyspa" spełnia nadal swą rolę i obecnie właśnie udaje się tam okręt z 684 zasłańcami. Okręt ten nazywa się „La Matiniere". Został on przebudowany zanim wziął na swój pokład transport więźniów za ostatnie dwa lata. Jest to obecnie wzór pływającego więzienia z podłogą i ścianami ze stali. Przestępcy, z których wielu skazanych zostało na śmierć, a następnie ułaskawiono ich, otrzymują w czasie podróży dobre pożywienie (mięso i wino). Zastosowano wszelkie środki ostrożności przeciwko możliwości buntu. Uzbrojeni dozorcy czuwają dzień i noc przed kratami żelaznych cel. Okręt zaopatrzony jest w urządzenie, które przy pomocy zwykłego nacisku na drążek oblewa więźniów gorącą wodą i parą.

Klęska powodzi w południowej Francji. Południową Francję nawiedziła w pierwszej połowie marca niebywała klęska powodzi. Wskutek ulewnych deszczów wezbrały wody rzek Tarn i Garonne, wystąpiły z brzegów, poprzerywały tamy i zalały trzy departamenty francuskie. Wody runęły tak nagle na pobliskie wsie i miasta, że ludzie, zaskoczeni nagłą powodzią, nie wiedzieli, gdzie mają uciekać. Ponieważ stało się to w nocy, więc wielu woda zalała w śnie, tak, że ani na ucieczkę nie mieli czasu. Fale wody momentalnie podmywały domy, zabierając z sobą drewniane zabudowania, a rozsypując w gruzy murowane. Setki kamienic po miastach legło w gruzach, przysypując niemi nieszczęśliwych mieszkańców. Ze wszystkich stron pospieszono tonącym w odmętach wezbranych wód z pomocą, ale nie zawsze pomoc ta była skuteczna, gdyż dostęp do ofiar powodzi był utrudniony. I zdarzało się tak, że w falach rozszalałego żywiołu ginęli nietylko ci, których powódź zaskoczyła, ale i ci, którzy spieszyli im z pomocą. W odmętach wody zginęło setki ludzi, setki ich zostało pogrzebanych przez walące się domy. W całej Francji panuje z tego powodu żałoba, a wszystkie narody całego świata spieszą ocalałym z materjalną pomocą. Na niżej zamieszczonym obrazku widzimy kilka scen z zatopionych miast przez ten niebywały wylew. Oto na lewo grupka mężczyzn uchodzi na wózku, zaprzężonym w jednego konika, który boryka się z wodą, a poniżej tramwaj, oblany falami wody, na prawo znów łódka z spieszącymi z pomocą do zagrożonych mieszkań.

W płomieniach kinoteatru. W mieście Sbinkou, w południowej Korei, odbywała się onegdaj jakaś uroczystość narodowa. Władze szkolne zarządziły, aby dziatwa w tym dniu poszła na przedstawienie do kinoteatru miejscowego. Jakoż zgromadziło się tam 135 dzieci. Zaczęto wyświetlać jakiś film naukowy, gdy wtem z niewiadomej przyczyny nastąpił wybuch, film się zapalił, a ogień momentalnie przerzucił się na dziatwę zgromadzoną w sali. Zajęły się ubranka dzieci, zajęły włosy na ich główkach. Gęsty dym żarł oczy i wyciskał z nich łzy. Niemiłosierne płomienie skwarzyły ciałka biednych maleństw. O ratunku nie było mowy. Gdy przybyła straż pożarna i ugasiła ogień, na spalenisku znaleziono 104 szkielety popalonych ofiar. Były to szkielety niemal samej dziatwy, gdyż tylko trzy starsze osoby padły ofiarą rozszalałego żywiołu. 31 osób jedynie zdołało się ocalić, a i z tych niektóre mocno poparzone.

Złowienie ryby djabła. Na północno-zachodniem wybrzeżu Australji udało się schwytać olbrzymiego potwora morskiego, tak zwaną „rybę djabła". Ryba ta ważyła dwie tony a dla jej przewiezienia trzeba było użyć całego wagonu, z którego jeszcze po obu stronach zwieszało się cielsko potwora. Gdy rybacy spostrzegli ją po raz pierwszy, sądzili, że to olbrzymi rekin, lecz im bardziej się zbliżali, tem widoczniejszą było rzeczą, że chodzi tu o zupełnie nieznany gatunek ryby. „Ryba-djabeł" pływała bardzo wolno, wskutek czego rybacy przypuszczali, że w walce podmorskiej została poważnie zraniona. Po wydobyciu jej jednak na ląd okazało się, że potwór był zdrów i cały. Niezwykły okaz przewieziono do muzeum i zabalsamowano.



RZECZY CIEKAWE.

Drzewo morderca.

Mięsożerne drzewa, żywiące się dużemi zwierzętami, a nawet ludźmi, są czemś w rodzaju „węża morskiego“ w świecie roślinnym.

Co pewien czas powtarza się wiadomość, że gdzieś w Ameryce, odkryto takie drzewo, a nauka raz wierzy w te odkrycia, to znów twierdzi, że należy je zaliczyć pomiędzy bajki.

Najczęstszem zdaniem nauki jest, że niewątpliwie istnieją mięsożerne rośliny, ale takie, które pożerają tylko owady, lub conajwyżej małe ptaszki, w rodzaju kolibrów.

Wbrew temu, doktór Marino de Silva ogłasza obecnie, że w okolicach brazylijskiej Gujany istnieje naprawdę drzewo, które się żywi nawet zwierzętami ssącemi.

Pień tej okrutnej rośliny ma posiadać średnicę czterech stóp, a dosięga wysokości czteropiętrowego domu. Nierozerwalna plątanina gałązek ma tworzyć jego koronę, nadto zdradzieckie siatki ljon wiszą ukryte poza olbrzymiemi liśćmi.

Od tego morderczego drzewa bije ohydna woń zgnilizny, a raczej padliny. To wyziewy jego organów trawienia. Ale szczególniejsza rzecz, że właśnie ta woń wabi do siebie małpy, które wdrapują się chętnie na jego konary, po to, aby zaplątać się w siatki i wśród szamotania się i krzyków zginąć w strasznych objęciach morderczego drzewa.

Proces zjadania ofiar trwa około 3-ch dni, poczem tragedja skończona i nasycone drzewo otwiera ramiona, wyrzucając na ziemię wiązkę, jakby obgryzionych do biała kości.

Dr Marina de Silva na swój honor brazylijskiego uczonego przysięga, że to wszystko jest prawdą, i że to drzewo jest dobrodziejem mieszkańców, bo dzięki jemu w Brazylji nie rozpowszechnia się plaga małp, niszczących gdzieindziej płody rolnicze.

Niezwykłe rekordy.

W Anglji wydana została ostatnio niezwykle ciekawa książka, obejmująca wszelkie możliwe rekordy oraz najbardziej niezwykłe wypadki. Wszystkie są rzeczywistemi zdarzeniami, świadczącemi, że życie o wiele przewyższa fantazję najpomysłowszych autorów powieści sensacyjnych.

Oto kilka przykładów z tej książki:

W angielskiem miasteczku Staffordshire żona jednego z tamtejszych kupców, Wortha, powiła dziecko, które posiadało niezwykły u niemowlęcia stopień rozwoju fizycznego i umysłowego. Rosło ono dosłownie z godziny na godzinę: w czwartym roku ten chłopak miał już zarost, gdy skończył lat sześć, twarz jego zaczęła się pokrywać zmarszczkami, a włosy zaczęły siwieć. W siódmym roku życia chłopiec umarł ze wszystkiemi objawami uwiądu starczego.

Rekord przebytych chorób osiągnął Amerykanin, Jack Smythe. Żył on 47 lat i w ciągu swego życia przebył 149 poważnych operacyj, co do niektórych lekarze nie rokowali żadnych nadziei utrzymania pacjenta przy życiu. Pacjent ten jednak przeleżał na stole operacyjnym ogółem 200 godzin i najcięższe operacje przetrzymywał „śpiewający“.

Rekordowy mecz bokserski odbył się — oczywiście w ojczyźnie boksu Angli — 6 kwietnia 1893 r. pomiędzy Anglikiem Bark'em i Amerykaninem Bowenem. Walka trwała 7 godzin i 19 minut. Zakończyła się wynikiem nierozstrzygniętym, a zawodnicy podobno nie byli wyczerpani, choć przez ten czas dwóch zkolei sędziów upadło ze zmęczenia.

Rekord ojcostwa przyznaje autor książki sułtanowi marokańskiemu, Mulai Izmail'owi, który od licznych swoich żon miał ni mniej ni więcej tylko 888 dzieci, w tem 548 synów i 340 córek. Bodaj, czy ten właśnie rekord nie jest najosobliwszym, a choć wydaje się tak nieprawdopodobnym, stwierdzony został oficjalnie przez dziejopisów marokańskich.

Kobieta-bóstwo.

W głębi Mongolji, nad brzegami rzeki Okhon, wykryła angielska ekspedycja handlowa plemię krajowców, które czci jako bóstwo najpiękniejszą kobietę w okolicy.

Raz na pięć lat, w okresie zbiorów jesiennych, następuje intronizacja bogini. Wyborcami są tylko mężczyźni. Głosowanie odbywa się przy pomocy drobnej monety, którą każdy z uczestników składa do urny. Skoro nastąpi wybór, najstarsi mężowie plemienia idą do miejsca zamieszkania „bogini“. Po odprawieniu modłów i złożeniu jej darów, wprowadzają wybrankę na świetnie ustrojony tron i całe plemię składa jej hołd.

Od tej chwili zaczyna się władza i działalność najpiękniejszej kobiety. Mężem jej zostaje jeden z kapłanów, którego sobie sama upatrzy, a potomstwo zrodzone z tego związku, zalicza się do arystokracji plemienia. Po pięciu latach bogini usuwa się w zacisze; odtąd nie wolno jej wchodzić do świątyni.

Pięć lat panowania wystarcza w zupełności, aby przyszłość „bóstwa“ była zapewniona. Kupuje sobie wtedy piękne gospodarstwo i w zapomnieniu kończy swe życie.

Czy człowiek coś czuje po śmierci?

Niejeden z naszych Czytelników zadawał sobie zapewne niejednokrotnie powyższe pytanie i nie mógł znaleźć na nie odpowiedzi. Takie samo pytanie zadał sobie pewien uczony włoski nazwiskiem Boccano, począł tę sprawę badać i teraz ogłasza ciekawe wyniki tych badań.

Otóż Boccano twierdzi, że uzgodnione zostało na podstawie relacyj ludzi, którzy w ostatniej chwili śmierci cudem prawie zostali przywróceni do życia, jak skazańcy, na których wykonanie wyroku nie powiodło się od jednego razu, lub topielcy, iż na parę minut przed śmiercią, albo też w parę minut po owej pozornej śmierci, gdy już ustało bić serce, a funkcjonują jeszcze pewne zwoje mózgowe, wówczas jak na taśmie filmowej jawią się umierającemu w błyskawicznych obrazach z całego jego życia najważniejsze zdarzenia.

„Umarły“ nie zdaje sobie dokładnie sprawy ze swej śmierci i wydaje mu się, że znajduje się jeszcze w świecie materjalnym, ale że to jest miejscowość, której nie zna. Myśl jego zamienia się w rzeczywistość. To, co ze wspomnień przenosi z tego świata, jawi mu się teraz. A ten okres złudy, że jest jeszcze wśród żyjących, trwać może krócej, lub dłużej, aż wreszcie poczuje: Teraz nie żyję.

W badaniach swych Boccano posługiwał się również rozmaitemi medjami i te, jak twierdzi, miały mu oznajmić, że świat umarłych otoczony jest przedziwnem światłem. I umarli widzą. Są bezcieleśni, a widzą. Według dalszych twierdzeń owych medjów, badanych przez Boccana, duch, opuszczając ciało, całą swą wolę koncentruje na tem, aby się jak naj-

szybciej oddalić od tego więzienia, które go przez całe życie więziło. I siłą tej woli unosi się w zaświaty. Duchy przez specjalną wymianę myśli, która niejako promieniuje z nich, mogą się bez słów porozumiewać.

Czy tak jest w rzeczywistości, jak owe medja miały opowiadać owemu uczonemu włoskiemu, trudno nam zbadać. Nie ulega jednak wątpliwości, że wszystko to poznamy kiedyś... po śmierci.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Bień** w T.: „Nieporozumienie“ zbyt drobna rzecz, choć zabawna. Szowinizm narodowy jest to rodzaj fałszywego patrjotyzmu. Szowinista uważa własny naród za najdoskonalszy, a wszystkie inne narody ma za coś gorszego. Zapatrywanie takie, niezgodne z prawdą i sprawiedliwością, jest szkodliwe, uniemożliwia bowiem poznanie i usunięcie wad własnego narodu, co powinno być dążeniem każdego obywatela. Można być także szowinistą w zapatrywaniu na własną gminę, rodzinę i t. d. Słowo „ostracyzm“ ma swój początek w Grecji. Najbardziej demokratycznie urządzonem państwem w starożytności były Ateny. Lud posiadał tam pełną władzę tak jak obecnie u nas, a zgromadzenie narodowe rozstrzygało wszelkie sprawy tak, jak u nas sejm. Ale często się zdarzało, że jakiś wymowny człowiek pociągał za sobą swą wymową innych na zgubę własnego kraju; nie słuchano najrozsądniejszych ludzi, bo taki „pyskacz“ potrafił przygłuszyć rozsądek i naród za sobą pociągnąć (Coś tak, jak i u nas obecnie). Aby takiego „pyskacza“ unieszkodliwić, każdy z obywateli miał prawo postawić wniosek o wydalenie go z kraju na pewien przeciąg czasu. Środek ten nazywano ostracyzmem. W ogólnem znaczeniu ostracyzmem możnaby nazwać wszelkie obostrzenia. — **Jan Ogiegło** w F.: Wierszyk bardzo miły i nieźle napisany. Czy własnego układu? — **Józek** w K.: Z zagadek skorzystamy. — **A. Markiewicz** w R.: Nadesłaną korespondencję zamieścimy w następnym numerze. — **Henryk Biłka Głębicki** w S.: Utworów pisanych na brudno i po obydwu stronach papieru nadsyłać nie można. Musielibyśmy je sami przepisywać, a na to nie mamy czasu. — **Jan Żmuda** w Ch.: Uwagi Kochanego Pana w wielu wypadkach zupełnie słuszne, ale drukować ich nie możemy, gdyż wkraczają w zakres polityki, a tej „Rola“, jako pismo bezpartyjne z zasady unika. — **Henryk Górecki** w T.: Owszem, im zagadka jest oryginalniejsza, tem więcej pożądana. Rozchodzi się tylko o to, aby była możliwa do ułożenia w druku. Jeżeli kilku wspólnie posyła rozwiązanie, to i tak do losowania przychodzi każdy oddzielnie i jeden tylko wylosowuje książkę. — **Wł. Frącz** w O.: Wierszyk bardzo dobry, ale z powodu braku miejsca nie mogliśmy go zamieścić. — **Andrzej Dej:** Na wiersz imieninowy brakło miejsca; drugi przeznaczamy do druku, gdy nadejdzie odpowiednia pora. — **Leon Batko** w B.: O takim podręczniku nie wiemy. Do sporządzania obrazów ilustracyjnych potrzebne są maszyny drukarskie, które kosztują dziesiątki tysięcy. W domu bez maszyn Pan nic nie zrobi. — **Jan Kwiatkowski** w Ł.: Gdzie taka fabryka jest, tego nie wiemy.

UNIEWAŻNIAM zgubioną książeczkę wojskową na nazwisko Stanisz Władysław z 5 pułku saperów w Krakowie, wydaną przez P. K. U. Nowy Targ.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Zagadki do nagrody.

1. Wiro-krzyżówka.

(Ułożył Wł. Wicherek).



Wyrazy od 1 do 9 są wyrazami wirowemi i należy je wpisać w kierunku zegarowym dookoła czarnych kwadracików. Wyrazy od 10—15 czyta się poziomo, a od 16—21 pionowo.

Znaczenie wyrazów:

a) wirowych: 1) sprzęt biurowy, 2) wielbiciel, 3) figura geometryczna, 4) targi doroczne, 5) środek usypiający, 6) średniowieczna nauka zajmująca się sztucznym wyrobem złota, 7) półwysep azjatycki, 8) miejscowość w zach. Małopolsce, 9) naczelnik powiatu.

b) poziomych: 10) część dramatu, 11) głos zwierzęcia, 12) roślina polna, 13) bryła lodu, 14) owad. 15) papuga.

c) pionowych: 16) imię cygańskie, 17) in. „przędzie“, 18) cierpienie. 19) rzeka w Europie, 20) in. „ukrywa“, 21) podanie.

2. Szarady.

(Ułożył Franciszek Klimeczko z W).

I.

Pierwsze pół drugiego czwarte
Gór naszych są ozdobą,
Jedziemy tam, pierwsze czwarte
Zabieramy ze sobą.
Pierwsze, trzecie szukaj w sporcie,
Każdy moc czwarte trzecie.
Całość miasteczko nielada,
Zna go Pierwsza Brygada.

II.

Pierwsze trzecie znane nam pytanie,
Dołóż coś z drugiego możesz mieć śniadanie,
W drugim Kraków czci swego świętego,
Pierwsze drugie mieszkanie zwierza dzi-[kiego,
Czwarte wspak był dawniej obroną
Wprost zaś jest szarady koroną.

3. Kalambury.

(Ułożył H. B. Głębicki).

I.

Gdy nagród za winy
Bardzo wiele mamy;
Właśnie z tej przyczyny
Bale wyprawiamy.

II.

Przylądek, rachuj! i — zgłoska;
Tam przebywa Matka Boska.

III.

Z „Polskiej Agencji Reklamy“
Zabierzemy inicjały,
Liczebnik jeszcze dodamy,
By nam ptaka dały.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 10 „Roli“: 1. Logogryf: Ferdynand Kuraś. 2. Zagadki: I. Koper. II. Mila. 3. Szarada: Niech żyje wydawca „Roli“ Feliks Kowalczyk! 4. Układanki: Barbara, Rafał, Tomasz, Marcela, Róża. 5. Układanki zoologiczne: Sroka, marabut, Jerzyk.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Ks. Maciej Suchodolski z T., Jakób Jeziorański z K., Wincenty Kula z M. K., Stanisław Łętowski z C., Henryk Górecki z T., Henryk Biłka Głębicki z S., Władysław Zyzak z S. Ż., Adolf i Mina Liebeskind z K., Józef Kopacz z S., Genowefa Porębska z K., Marja Hechelska z K., Hela Bandułówna z M., Piotr Wenc z S., Euzebjusz Łęgowik z B., Irena Wnękowiczówna z D., Jan Gara z W., Piotr Leśniak z M., Władysław Wicherek z B., Marjan Wietrzny z L., Józef Fornal z Cz. (wierszem), Józef Topolski z B., Marja Szafrańska z Cz. (wierszem).

Nagrody wylosowali pp.: Genowefa Porębska z K. i Władysław Wicherek z B.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z. dnia 14 marca b. r.

Pszenica	35·00—35·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto	17·00—17·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies	17·00—17·50	Koniczyna nasienn. czer.	165·00—185·00
Jęczmień	18·00—19·00	Mąka żytnia	33·00—33·50
Fasola biała	60·00—65·00	Mąka pszen.	66·00—67·00
Groch zwyk.	30·00—31·00	Otręby pszen.	13·00—13·50
Siano słodk.	9·00— 9·50	Otręby żytnie	11·50—12·00
Łubin żółty	27·00—28·00	Mąka czerw.	16·00—17·00
Koniczpastew.	11·00—12·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 14 marca b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·10 do 1·57 zł.	Jałownik	od 1·07 do 1·55 zł.
Woły	od 1·17 do 1·58 zł.	Cielęta	od 1·22 do 2·00 zł.
Krowy	od 0·90 do 1·50 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·40 do 2·59 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·75 do 3.40

ROŚCISZEWSKI M. Jak doskonalić samego siebie. Cena Zł. 1.60.